Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1890. Rok XIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Wędrówki naszych ptaków.

Skreślił
Władysław Spausta.

Wśród samych zagadek leży zjawisko wędrówek ptaków. Szerokie to pole do stawiania najrozmaitszych hypotez, a słabostka natury ludzkiej, objawiająca się w tem, iż pragnie sobie wszystko, chociaż byle jak wytłumaczyć, stworzyła tutaj istny labirynt teoryj, rozumowań, hypotez, wygłaszanych częstokroć z taką katedralną pewnością, jak gdyby chodziło o rzeczy najłatwiejsze, same przez się zrozumiałe. W niezbadanych jeszcze po dziś dzień dostatecznie stosunkach kosmicznych zamierzchłych epok geologicznych, szukano nieraz oparcia, i na tak chwiejnej podstawie starano się dawać odpowiedź, ale daremnie; pytanie, jak się odbywają wędrówki ptaków, nie znalazło jeszcze dostatecznej i na faktach opartej odpowiedzi.

Jestto więc poniekąd zarozumiałością, jeżeli pragniemy odpowiedzieć sobie na znacznie dalej sięgające pytanie, nie wiedząc jeszcze dokładnie jak się rzecz odbywa, lecz idziemy w tem jedynie za popędem natury ludzkiej, usiłując na podstawie myślenia i spekulacyj czysto rozumowych wypełniać luki naszej niedostatecznej wiedzy. Nie jest zresztą moim zamiarem w piśmie łowieckiem zatrudniać łaskawego czytelnika mojemi indywidualnemi poglądami na tak zaciemniony jeszcze przedmiot. Nie chcę budować nowych ganków w labiryncie, z którego i tak już trudno się wydostać, nie chcę układać zrównań o samych nieznajomych i rozwiązywać je wartością imaginacyjną, lecz patrząc zdrowem okiem myśliwego i przyrodnika na całą nas otaczającą przyrodę i wsparty skarbem doświadczenia innych, niezmordowanych na tem polu badaczy, pragnąłbym w świetle faktów dotrzeć do zasad, na jakich wędrówki ptaków odbywać się mogą. A jeśli mimowoli będę musiał tu i owdzie wpaść na pole rozumowań, nie znalazłszy pewnika i dostatecznych faktów, któreby postawiły tamę wyobraźni, to tylko tam, gdzie nie ma zgody w dotychczasowych, żmudnie zdobywanych doświadczeniach, lub gdzie takowe dotychczas nie były możliwemi.

Ostrożnie podawane przypuszczenia nie gmatwają bynajmiej rzeczy, przypuszczenia jednak podniesione niepowołanie do godności systemu, fatalnie działają na polu postępu, i zakreślają koło, w którem niejeden umysł błądzi długo nim przekona się o błędzie t. z. systemu lub pewnika. Trudno wyliczyć, wiele złego zdziałało owe tworzenie bezpodstawnych systemów, ile wstrzymało postęp upaupatrywanie faktów w świetle zasad i stosowanie wszystkiego do z góry zakreślonych ram. Uwikłali się w tej matni

i wielcy myśliciele, a u kresu życia przychodzili z żalem do przekonania, że jedyną drogą prowadzącą do prawdy są fakta, według których dopiero zasady systemu mogą być utworzone.

Nad wędrówką ptaków, nad owem zjawiskiem w przyrodzie tak żywo obchodzącem cały świat myśliwski, wolno i nam zatem ostrożnie rozumować, zwłaszcza tam, gdzie nasza wiedza nie sięga. Żadnego wszakże systemu hypotez nie zbuduje ta myśliwska gawęda — a zachęci może, aby patrzeć dalej, cieszyć się z tego, co na razie przyrodzie z tajemnic jej wydrzeć zdołano, a zbierając coraz dalsze fakta do postępu, chwytać je jak nić Ariadny w tajemnym labiryncie przyrody.

* * *

Pomimo, że począwszy od ojców nauk przyrodniczych, bo od czasu Aristotelesa i Pliniusza, zwracano naukową uwagę na wędrówki ptaków, pozostały one tysiące lat tajemniczą zagadką. Niejakie odkrycia zrobił na tem polu dopiero wiek 18-ty, gdy ogół nauk przyrodniczych obudził się do nowego życia. Tyle rzeczy jednak pozostało jeszcze nie zbadanych do dnia dzisiejszego, iż jeżeli porównamy literaturę przyrodniczą z ostatnich lat naszej epoki, przekonają nas rażące sprzeczności w zdaniach badaczy, iż i dziś nagromadzony materyał nie wystarcza bynajmniej do ujęcia przedmiotu w stałe ramy, nie wystarcza do wytworzenia nienaruszonych prawideł. Są tam jeszcze tajemnice, których odcyfrowania nawet nie rozpoczęto.

Nowy kierunek, jaki nadały naukom przyrodniczym wiekopomne prace Lamarka, Darwina i t. d., wytworzył wielu bardzo gorliwych wyznawców teoryj nowych, a apostołowie ci, w zapale uwielbienia swego dla tych teoryj, starali się wszystko zastósować do systemu, któremu hołdowali. To też za życia jeszcze poznał się na grożącem niebezpieczeństwie bystrym swym umysłem Darwin, a żegnając jednego ze swych przyjaciół, który się do Niemiec wybierał, prosił go o podjęcie zabiegów, aby jego zbyt gorliwi wielbiciele nie psuli tego, co on dla nauki zdziałał. Obawy Darwina ziściły się, lecz nietyle w Niemczech, ile w własnej jego ojczyźnie, w Anglii.

W niemieckiej literaturze fachowej pojawiło się w r. 1876 dzieło „die Zugstrassen der Vögel“ J. A. Palmena, docenta przy uniwersytecie Helsingfors w Finlandyi. Autor, widocznie pod wpływem kierunku nowszego, odważył się wytyczyć drogi ptakom wędrownym i uwidocznił to czerwonemi liniami na mapie, którą do dzieła swego dołączył. To już nie rozumowania nad przedmiotem luźnym, ale ujęcie go w system ścisły, w ton przekonywający, a wszystko tymczasem oparte na bardzo niedostatecznych spostrzeżeniach, jak to wykazał znakomity badacz i ornitolog Homayer w dziele swem: „Die Wanderungen der Vögel 1881“.

Co do wędrówek ptaków istniały dotychczas najdziwaczniejsze pojęcia i to nietylko u ogółu, ale nawet u t. z. uczonych, i nikt się nie kusił nawet o próbę zbadania rzeczy. Charakterystyczną cechą stanu wiedzy jest n. p. fakt, iż naturalista J. T. Klein*), żyjący w pierwszej połowie ubiegłego stulecia w Gdańsku, podawał jako fakt udowodniony licznymi świadkami, iż jaskółki, zimujące w wodzie, wyciągnięte z tejże, odżyły w ciepłej izbie. Jestto tylko ilustracya dawnych dobrych czasów, które nauka przyrody tak dalece zepsuła, iż wiara podobna już dziś nawet u prostaczków trudnoby się przyjęła — ilustracya, ile może zdziałać wyobraźnia nawet u przyrodnika. Powstanie tej fabuły polega niezawodnie na częściowem spostrzeżeniu, bo nie trudną jest rzeczą znaleść we wodzie utopione jaskółki wobec gromadnych przelotów tego ptactwa przez morza. Jedne mogą ginąć w drodze (bo i ptaki kiedyś umierają) ze zmęczenia, inne przypadek wtrąca do wody, a woda, nim rozkład jeszcze nastąpi, wyrzuca martwe ciałka na brzegi, albo chwyta je w sieci rybak, albo też w inny sposób zwracają uwagę człowieka. Spostrzeżenie zatem jest — a tajemnicze zniknięcie jaskółek i znalezienie kilku tych ptaszków we wodzie wprowadza na domysł, że zimują one we wodzie.

I nonsens ten szerzy się, bo z nonsensami ma się rzecz podobnie jak z kłamstwami, iż często powtarzane tracą już swój właściwy charakter, kłamca zaczyna wierzyć w swe własne kłamstwa, a w matnię absurdów wmięszany, słabnie i w tym chorowitym stanie ducha zaczyna bronić ich z całem przeświadczeniem i coraz gorzej się gmatwa. Tym chyba chorobliwym objawem można sobie wytłumaczyć wypowiedzenie wzmiankowanego naturalisty, którego imię zapisane jest na kartach zoologii, botaniki i paleontologii.

Nowa wersya o tem, w jaki sposób jaskółki zimę przepędzają, pojawiła się i w ostatnich czasach. Francuz Lerron w bieżącym roku miał wykład na posiedzeniu Towarzystwa przyrodniczego w Paryżu, w którym starał się wykazać, iż jaskółki w sen zimowy zapadają, co więcej, ukazał nawet zdumionemu zgromadzeniu śpiącą jaskółkę, którą znaleść miał w szparze muru. Reporterzy tej wiadomości już są gotowi uwierzyć, iż część jaskółek rzeczywiście w śnie zimowym czas ten przepędza, jednak z mej strony pozostać chcę niewiernym Tomaszem i dziwi mnie, że takie baśnie, nie zgadzające się w niczem z naturą rzeczy, znajdują wiarę i ośmielają do takich wykładów.

O innem ptactwie istnieją do dziś dnia u ludu rozmaite podania. Jedne mają zimować pod kamieniami, inne w dupłach drzew, a o niektórych, i to o tych, do których najmniej to odnieść można, prawi lud, że się wybierają za morze.

W niektórych z tych licznych podań można odszukać choć po kropli prawdy, chociaż rzecz sama dodatkami z czasem zupełnie wypaczoną została; inne są to chyba zabobony, jak przeważna część rozmaitych podań przyrodniczych u ludu.

Rzuciwszy okiem na całość przyrody widzimy, iż pewne objawy powtarzają się w całym świecie organicznym. I jakby jeden duch potężny jednolitą myślą owiewa wszystko, co żyje i wytwarza analogiczne zjawiska, niewyłączając i pana ziemi, człowieka. Żądza wędrówek ptaków, tak przez nas podziwiana i niezbadana, tkwi również głęboko i w naturze człowieka; objawia się ona i za dni naszych, nawet wśród społeczeństw od wieków osiadłych, a w umysłach wielu ludzi objawia się pewien rodzaj tęsknoty i jakiegoś niewytłumaczonego uczucia w obec widoku przelatujących stad wędrownych ptaków. Uczucie to znalazło swych piewców we wszystkich warstwach społecznych, a wystąpiło również i w pieśni gminnej.

Realne fakta pouczają nas, że żądza wędrówek nie zamiera, jeno chyba usypia. W chwili snu marzy człowiek o dalekich krajach, wzdycha do jakichś sentymentalnych obrazów imaginacyi, aż wreszcie wybija ostatnia godzina snu, a przebudzone miliony ruszają naprzód, byle naprzód. Jak daleko sięga historya ludzkości, ba, nawet i po za nią,

*) Pierwszy, który stwierdził, iż kukułka jaj swych nie wysiada. Przyp. aut.

z czasów, skąd żadne tradycye już nawet nas nie doszły, przemawiają do nas głazy i szczątki, przemawiają, że kraina, którą my azyatyccy wychodźcy zamieszkujemy, przedtem już była siedliskiem czasowem innych szczepów, innych ras. W czasach historycznych kolosalna wędrówka narodów azyatyckich poruszyła swą nawałą niemal wszystkie narody na szerokim swym szlaku; kilkakroć szczep mongolski, pędzony z pewnością nie wolą jednego despoty, lecz narodową żądzą wędrówki, pragnął wyprzeć wszystkie narody indogermańskie z ich siedzib i zająć ich miejsca. Nie miejsce rozszerzać się tu nad tym przedmiotem, jednak to pewne, iż na obu półkulach świata żądza ta istnieje, i objawia się odpowiednio do stopnia kultury, na jakiej dotyczące społeczeństwo pozostaje.

Po gorączce odkryć, która ogarnęła w XV. i XVI-stym wieku narody europejskie, nastąpiła znów wędrówka narodów w swoim rodzaju, wędrówka, na jaką pozwolić mógł ówczesny stan społeczeństw. Nastąpiły kolonizacye, a na drugiej półkuli świata, na gruzach dawnych społeczeństw, również wędrówką utworzonych, powstały nowe potężne społeczeństwa. W małym rozmiarze odbywa się i w czasach naszych wędrówka prymitywna w wielkiej części Azyi środkowej i północnej, a kto wie, czy żądza wędrówek nie zbudzi się jeszcze raz do czynu, czy nie ogarnie narody azyatyckie krępowane do czasu odrębną cywilizacyą, czy jeszcze raz nie spróbuje plemię mongolskie wędrówki do Europy, gdy pękną ogniwa, utrzymujące związek państwa niebieskiego.

Czyli żądza wędrówek jest bezwiednie odziedziczonym popędem pierwotnym, czyli też wytworzonym pod wpływem refleksyi psychicznej, i następnie przelanym i ustalonym w pokoleniach, nad tem nie mamy się co zastanawiać. Jeżeli tylko uznajemy istnienie żądzy wędrówek, to jest rzeczą obojętną sposób jej powstania.

Przechodząc do świata zwierzęcego, spotykamy żądzę wędrówek w większym lub mniejszym stopniu u wszystkich niemal zwierząt, od najwyżej zorganizowanych aż do najniższych. Tkwi i tutaj ów pociąg, a jeżeli się nie objawia tak jaskrawo jak u jednego rodzaju zwierząt, t. j. u ptaków, to chyba dlatego, że nie domaga tu i mechanika ciała i w ogóle organizacya fizyczna. Różnica ta leży w skrzydłach i oddechu ptaka z jednej strony, a z drugiej w fatalności ruchu, który inne twory zmusza pełzać po ziemi.

Dopiero na widok ptaka lecącego ogarnia gorąca żądza lotu wszelki twór, prawem ciążenia do ziemi przykuty, a żądza ta znajduje swego tłumacza w człowieku, który nawołuje lecące ptaszyny: „Rojenia skrzydlate, za któremi tak gorzko musimy płakać, czemuż nie możecie życia zapełnić? Żeby to od gwiazdy do gwiazdy połączeni, zbratani we wspólnym odwiecznym locie, odbywać razem błogą wędrówkę, przez nieskończonej dobroci przestwory“.

Zdumiewają nas niezawodnie dalekie wędrówki ptaków, a obojętnie spoglądamy na wędrówkę mniej tajemniczych, bo równo z nami do ziemi przykutych maleńkich nieraz stworzonek, a jednak po bliższem zastanowieniu się musimy przyjść do przekonania, że te ostatnie daleko większego dokazują dzieła stosunkowo do swej fizycznej możności.

Gdy żar słoneczny zanadto zaczyna dokuczać, opuszczają całe gromady małp indyjskich swe dotychczasowe siedziby, i wędrują ochłodzić się w gąszczach cienistych lasów u stóp łańcucha gór Himalajskich. Pogląd na mapę przekonuje, że to nielada wędrówka. Gdy temperatura opada, następuje znów powrót w strony południowe.

Północno-wschodni monsum każe wędrować słoniom w równiny, a południowo-zachodni gorący prąd zapędza je w góry.

Dzikie osły nad jeziorem Aralskiem i w Tybecie uchodzą przed zimą na południe, a przebywszy bądź w Persyi, bądź w Afganistanie lub Indyach zimę, wracają na lato znów na północ.

Wędrówki reniferów powtarzają się z największą regularnością.

Lemingi, zamieszkujące brzegi morza lodowatego, powtarzają mniej więcej co lat 10 wędrówki w kierunku Norwegii i Laponii, a za tą poruszającą się pieczenią wędrują znów całe gromady innej hałastry. Lisy, kuny i t. p. drapieżniki stają się tu koniecznym konwojem.

Myszy ziemne *(Hypudaeus terrestris)* wędrują z Kamczatki na zachód a w październiku wracają napowrót. Powrót ten radośnie witają mieszkańcy Kamczatki, bo ciągną się za niemi rozmaitego rodzaju właściciele pięknych i drogich futerek, podobnie jak z radością widzą na swych wodach mieszkańcy Norwegii, Szkocyi i innych północnych krajów nadbrzeżnych delfiny wędrujące, bo rozbójniki te zwiastują im wędrówkę śledzi.

Koło przylądka Dobrej Nadziei, niemniej w pewnych miejscowościach Ameryki, pojawiają się niezliczone stada antylop i jeleni a to z wiosną i w jesieni.

Za szarańczą wędrowną lecą kosy pasterze *(Pastor roseus)* i rozmaite inne z odmian drozdowatych (Demidoff, *Russie meridionale).*

W najnowszych czasach obserwowano nad morzem Bałtyckiem wędrówkę chrząszczy jelonków *(Lucanus cervus).* Wędrowały one przez morze. A zadziwić może każdego wiadomość podana przez dzielnego badacza (W. Middendorf, *Sibirische Reise),* iż nawet nasz poczciwy szaraczysko daje się w pewnych chwilach unieść popędem wędrówki. W r. 1720. spotkał podróżnik Bell u ujścia Tunguski stado wędrujących zajęcy, złożone z około 600 sztuk, a dodaje, iż wędrówka ta powtarza się co roku od wschodu na zachód i odwrotnie.

W ciemnej otchłani wód, w głębi oceanów, w ogóle wszędzie te same objawy wędrówek, że wspomnę tu tylko wędrówki śledzi, tuńczyków i t. p.

W naszem stuleciu poznano dopiero wędrówkę t. z. muszli wędrownej *(Dreysena polymorpha),* która w r. 815. z południowej Rosyi przeszła do prowincyj Nadbałtyckich (zapewne kanałami komunikacyjnymi) a obecnie jeszcze znajduje się masami w rzece Haweli. W r. 1826 była ona u ujścia Renu, obecnie jest we wszystkich rzekach Anglii i Szkocyi i sięga w Sekwanie aż pod Paryż.

Lecz pocóż sięgać w odległe świata strony! Rzućmy okiem tylko na naszą krainę, a mamy i tu dosyć zjawisk wędrówki. Ze zgrozą spoglądamy na przechód myszy polnej, każdy wie o wędrówkach szczurów, które, nie dawszy się wyniszczyć, znikają gdzieś same w sposób tajemniczy, każdy widzi pojawianie się najrozmaitszych szkodliwych owadów, których wędrówka wprawdzie dotąd jeszcze niezbadana, ale wobec skonstatowanych objawów wędrówki u innych owadów wielce prawdopodobna.

Büttner w „Naumanii“ z roku 1858 opowiada, iż cała chmura motyla osetnika *(Papilio cardui)* wędrowała z W. ks. Badeńskiego przez Ren do Francyi, a dwa razy zauważano z milionów złożone chmury bielinka kapustnika *(Papilio brassicae),* wędrujące z brzegów Francyi przez morze do Anglii. Na własne oczy widziałem i ja podobną wędrówkę

niestrzępa głogowca *(Aporia crataegi)* w Złoczowskiem w 1871. roku. Od strony wsi Ponikowice, zatem od północy, przelatywały motyle te przez wieś Wysocko, ciągnąc się dalej ku Kadłubiskom. Miliony tych motyli ginęło po drodze, a czerwonawe ich odchody znaczyły się na budynkach i innych przedmiotach jasnych, ponad którymi wędrówka się odbywała. Nieszczęśliwe były sady, leżące na szlaku tej wędrówki, bo wszędzie zaszczepiony został w milionach zarodek tego strasznego sadów nieprzyjaciela.

Przytoczyłem tu tylko kilka przykładów niejako koniecznych do wykazania, iż żądza wędrówek w mniejszym lub większym stopniu jest ogólną, począwszy od owadów a skończywszy na koronie stworzenia, to jest na człowieku, a dałyby się spisać o tem tomy całe, gdyby nie szczupłe ramy, jakie zakreśla miesięcznik łowiectwa polskiego.

Zmuszony zatem jestem przerwać dalsze naprowadzanie faktów, służących tej myśli, muszę przemilczeć wiele spostrzeżeń własnych w tym przedmiocie na rozmaitych rodzajach zwierząt i zakończę słowami wielkiego na tem polu badacza:

„Nazbyt potężna żądza wędrówki, która w ciepłej izbie ptaszkowi w klatce nie daje spokoju, nabrzmiewa monstrualnie, wyrasta do potęgi szału równie i w człowieku. Naprzód! naprzód! Popycha ona równie człowieka jak ptaka, czyni z niego śmiałego odkrywcę, otwierającego swemu rodzajowi nowe światy.“ *(Ciąg dalszy nastąpi.)*

MARCINEK.

Na tle cudzych i swoich wspomnień

skreślił

ALEKSANDER UBYSZ.

(Ciąg dalszy.)

Las, którego środkiem, ciemną drogą jechaliśmy, był czysto dębowy, stosunkowo może za gęsty, szczytny, gruby, może nieco przestarzały.

— Tu nie musi być zwierzyny — rzekłem.

— W samej rzeczy, w tak zwartym lesie nie bywa, więc i tu nie ma zwierzyny. Za życia jeszcze ojca nieboszczyka sędziego aż do tej pory, zatem więcej niż sto lat, siekiery w tej dębinie nie było. W innej części lasu, a w całości mamy go około 600 morgów, gdzie drzewostan mięszany, robimy sekcyami cięcia na materyał lub opał. Las i pola własną rękę przemierzyłem, gdyż uczyłem się miernictwa w szkole realnej.

— Gdzie leśniczy? — zapytał Marcinek jednego z gajowych.

— Pojechał do dworu, skoro się dowiedział ze W. panicz przyjechał.

— Dziki są?

— A jest ich sześć — kiedyś tutaj je otropiłem. We dnie „buchtują“ po lesie za żołędzią, która w tym roku skąpo obrodziła — a na noc „barłogują“ na „Zapadni“.

— Siadaj pan — rzekł Marcinek do mnie — opowiem mu po drodze ciekawe podanie o tej „Zapadni“.

Tradycya mówi, że za bardzo dawnych czasów, w naszej wsi żyć miała kobieta wdowa, z swym synem jedynakiem. Kobieta była pracowita, a syn, pomimo lat dopiero ośmnastu, wielki hultaj i próżniak. Matka sama odrabiała pańszczyznę, a synek hulał po karczmach, wydzierając jej grosz zapracowany. Niecnota ten począł czem raz dłużej, Bóg wie gdzie przesiadywać.

Lasy w tej okolicy miały być ogromne, toż rozgłosiło się, że banda opryszków, gdzieś w ich głębi, obrała swe siedziby. Wieść tę potwierdziły rozboje. W owej wsi napadnięto dwór, owdzie zrabowano księdza, żyda, lub bogatego wieśniaka.

Naraz pewnej nocy, zbójcy, napadłszy ową wdowę, w straszny sposób ją zamordowali. Czy co zrabowali, nikt nie wiedział, bo wdowa uważana była za ubogą. Aż na drugi dzień po dokonanym mordzie, zjawia się u Podstarościego młody wieśniak, następujące robiąc zeznanie:

„Poszedłem w pański las, ażeby, ot tak, wziąć parę kawałków drzewa na opał. Już mam zaciąć siekierą, gdy naraz słyszę głosy jakieś. Pozieram, aż tam przy ognisku siedzi zbójców kilkunastu, a między nimi Bartek, syn wdowy.

„A co? Nie mówiłem wam? — rzekł chełpliwie syn wdowy. — Nie chcieliście mnię przyjąć do siebie, żem za młody, otóż pokazałem co potrafię, własną matkę zamordowałem, i ten garnek srebrnych i miedzianych pieniędzy wam panie naczelniku ofiaruję.

Wszyscy zbóje jęknęli na tak straszne wyznanie. „Prawda — rzekł po chwili naczelnik. — Nikt z nas, jakkolwiek zbójcami jesteśmy, nie zabiłby własnej matki. Jaki czyn, taka niech będzie zapłata.

— Chłopcy! — zawołał — oto na tem drzewie powieście tego wyrodka. Jednak nie za szyję, tylko za nogi, a garnek z pieniądzmi matki pod samą głową mu postawcie.

Bartek począł błagać — nic to jednak nie pomogło. Zbóje porwawszy matkobójcę, jak naczelnik przykazał, obwiesili go głową na dół.

Na odchodnem — bo natychmiast po egzekucyi porzucili zbójcy na zawsze owe strony — rzekł naczelnik: Teraz bodaj się ziściły słowa twej, matki wyrzeczone w czasie mąk, gdyś, pragnąc się dowiedzieć, gdzie chowa pieniądze, żar z komina sypał na piersi, które cię karmiły: „Bodaj się ziemia pod tobą zapadła“!

Prawdę słów owego wieśniaka, stwierdziła natychmiast komisya sądów grodzkich. Nikt nie śmiał tknąć wisielca.

Po pewnym czasie wszakże owe drzewo, wraz z Bartkiem i pieniądzmi w ziemię się zapadło, tworząc rodzaj jamy, zapełnionej wodą.

Do dziś istnieje ta jama, jak ją niektórzy „wilcza studnia“ lub „zapadnia“ nazywają. Głęboka nie jest, bo ją sądowałem, za to grunt w około niej grząski.

I dziś, po wiekach, żaden z wieśniaków, nocą w te miejsca pójść się nie odważy — i we dnie o ile może ich unika.

W tej „zapadni“, obecnie po wytrzebieniu dawnych dużych borów, na skraju lasu się znajdującej, kto chce znaleść dziki lub wilki, gdy się pojawią, niech ich tam szuka, a znajdzie na pewne. Cisza, woda i grunt grząski dla ludzi nie bardzo przystępny, są prawdziwym „wyrajem“ dla obu tych gatunków zwierzyny. Możemy jutro zapolować.

— Wątpię — odrzekłem — jutro, a może i przez dni kilka będzie śnieżna zawierzucha. Nieochybnym znakiem odmiany powietrza są stada gawronów, co tam ponad wsią bez gwaru i wrzawy krążą i po drogach i oborach żerują. A jeszcze pewniejszym dowodem śnieżycy, że lisy nie wróciły o świcie do nor swoich tylko, mimo, że już z południa, po polu myszkują. Niech pan spojrzy, ot tam, po nad owem polem w pobliżu wsi myszkuje lis Lecz gdzież nagle zniknął? Prawdopodobnie wszedł między gęste kupy mierzwy poletko pokrywające, w celu łowu myszek, co się tam z dalekich, śniegiem pokrytych pól w chęci szukania ziarnek zlazły. Jakkolwiek charty dość pomęczone, sprobójmy szczęścia, może nam się uda pochwycić „łapimyszkę“. Pan ze strzelbą jedną stroną pola pójdzie, a ja, wziąwszy charty za obroże, pójdę środkiem kup. W czyją stronę lis wymknie, będziemy strzelać, lub szczuć chartami.

Propozycya moja została przyjętą.

Wstąpiłem w środek kup mierzwianych. A to co? Spostrzegłem trop zajęczy, a za nim jak to mówią „trop w trop“ lisi. Nieochybnie, pomyślałem, lis nie za myszami tylko za zającem nypie. Naraz padł strzał Marcinka, a wnet po strzale ujrzałem „kopyrę“ czystem polem w stronę wsi pomykającego. Poszczułem — lecz zając, jakkolwiek poszczucie nie było dalekie. odsadził się od chartów i wprost ku wsi czesze.

Nadszedł wkrótce Marcinek, wlokąc ubitego lisa. Siadamy w sanie i dalej galopem w stronę wsi, gdzie charty za zającem poszły.

— Wie pan — rzekł Marcinek — ja znam tego „gracza“ zająca, szczułem go nawet kilka razy, i zawsze wykpiwał się chartom między chałupami i ogrodami.

Dojechawszy do wsi, zastaliśmy charty tu i tam pomiędzy płotami biegające. Najlepszy to znak, że „kot“ i tym razem zwykłego zażył manewru i dziurą w płocie wpadł do któregoś ogrodu. Naraz z głębi „kowalowego“ ogrodu, słyszymy gwałtowny krzyk chłopięcy. Co żywo przeskakuję płot i cóż widzę? Terminator kowala, tak zwany „dymacz“, którego jedynem zajęciem pierwszorocznej praktyki jest „dymanie“ miechem — chłopak nie wielki, leży plackiem na ziemi i targa się z pochwyconym przez się zającem, w tej chwili wszakże zając mu się wyrwał, ale go wnet udusiły nasze charty.

— Widziałem proszę pana — mówił chłopczyna — jak zając dziurą w płocie smyknął do naszego ogrodu i przycupnął w kącie. Wbiegłem tam, no, i pochwyciłem „gada“. Cóż, kiedy bestya mocna, podrapał mnie, ugryzł w rękę i wyrwał się.

Przy kuźni zjechaliśmy się wszyscy.

— A cóż to za dzień pełen szczególnych wydarzeń—rzekł Sylwery — co łowy to łowy! Długo mi w pamięci pozostaną. Ot, wstąpmy do proboszcza. Na jego polu odbył się łów, toż jemu połowę łupu, a mianowicie zająca ofiarujemy.

— *Salve! salve!* — zawołał do nas wchodzących proboszcz starowina — troszczyłem się właśnie, z kim się „cynamonówki“ napiję... Bo wikary dobry księżyna, ale ot, Boże zmiłuj się, człowiek nowego kroju, nic prócz wody nie pije — dodał z westchnieniem.

Wnet też, szafeczkę ścienną otworzywszy, dobył z niej flaszkę i różne zakąski.

Wyznam otwarcie, że śniadanko przez nas wszystkich bardzo wdzięcznie było przyjęte. Pałaszowaliśmy przekąski *con amore*. Proboszcz nie posiadał się z radości — co się objawiało przez ciągłe zacieranie rąk. Dowcipkował: „*bis repetita placet*“. A po repetycyi: „*Omne trinum, perfectum*“.

— A może ksiądz proboszcz, jutro z nami na dzika zapoluje? Wszak to dawniej bywało — rzekł Marcinek.

— Bywało, bywało — ale starość włazi w kości i coraz trudniej. Reumatyzm w nich się zagnieździł, a teraz mi mówi, że jutro będzie odmiana, to wątpię żebyście i wy polowali.

Z tryumfem spojrzałem na Marcinka, który z niewiarą przepowiedni moich na jutro wysłuchał. Do domu wracając, wskazałem mu siwe mgły od zachodu wiatrem pędzone.

— A co! nieprawda?

Babcia przy spóźnionem naszem drugiem śniadaniu z zajęciem wysłuchała relacyi z odbytego polowania. A że ją to zaanimowało, poznać było można po żywszym blasku jej niegdyś błękitnych, dziś skutkiem wieku przygasłych oczu.

— Ja — rzekła staruszka — za moich młodych czasów na płocie zająca zastrzeliłam. A było to tak:

Młodem byłam jeszcze dziewczęciem, lecz wielką miałam chętkę do strzelby, czego mi wreszcie nieboszczyk ojciec nie bronił. Zima była zawalna i burzliwa, toż od strony zachodowej i północnej płoty ogrodów naszych po sam szczyt ogrodzenia były zawiane. Owoż przybiega do mnie ogrodniczek i mówi: „Proszę panienki, w ogrodzie warzywnym, pomiędzy jarmużami siedzi zając, co się był w nocy przez zaspę do ogrodu dostał“. Nie wiele się namyślając, chwytam strzelbinę i dalej w ogród. Ogrodniczek poszedł na „deptaka“, ja stanęłam w pobliżu płotu gotowa do strzału.

Wypłoszony zając począł jak szalony uganiać po stosunkowo niewielkim ogródku, na którym wyłącznie tylko włoszczyznę sadzono. Najwięcej dobijał się do płotów, pragnąc je przeskoczyć. Naraz uciąwszy sutego „kominka“, aż pod samo ociernienie, byłby je może i przesadził, toż strzeliłam, jak uniesiony był w powietrzu, i trafiony padł martwy w środek cierni płotowych.

Że to był pierwszy mój zając, a w dodatku w tak dziwnej pozycyi ubity, toż kto żył w domu wraz z ojcem moim, przyszli podziwiać niezwykłość zdarzenia“.

Tu wstał Marcinek i rzekł:

— Muszę pójść zobaczyć, jak się memu garbuskowi dziś łowy powiodły. On siecią łapie trznadle i potrzyszcze.

My z Sylwerym, pożegnawszy staruszkę, poszliśmy do swego pokoju zapalić cygareta i przedrzemać się do obiadu.

Prognostyki moje co do joty ziściły się. Wieczorem począł padać śnieg gęsty. Na otwartych miejscach szalała zawierucha. Jak raz pora do gawędy lub lektury.

Otóż Sylwery począł mi czytać ustępy z pamiętników babuni, które, o ile notatki moje mnie informują a pamięć nie zawodzi, w streszczeniu podaję.

* * *

— Jedynaczką jestem u moich rodziców. Matka mnie pieści i na wszystko pozwala. Ojciec nie mniej pieści, lecz z nim krótka sprawa. Na to, co mu się nie podoba, okiem tylko błyśnie, i wnet poznaję, co wolno a co nie. Ojciec mój do chwili rozbioru Rzeczypospolitej był sędzią ziemskim. Zupełna przemiana sądów detronizowała go z tej godności.

Nic to jednak nie przeszkadzało, że szlachta, która długie jeszcze lata nowego porządku rzeczy nie uznawała,

jak ongi co sobotę z przeróżnemi swemi sprawami do ojca się zjeżdżała. Mój Boże! ileż to spraw, częstokroć dość drażliwych, ojciec mój przy pomocy poważniejszych obywateli sposobem kompromisarskim załatwiał! Nieraz, osobliwie w sprawach granicznych, ojciec musiał jechać aż na grunt i jednać powaśnione strony. Matka moja niechętnie patrzała na podobne wyjazdy ojca, bo załatwione w prawy sposób, zazwyczaj kończyły się pijatyką, co mu bardzo szkodziło.

Ile to ludzi minęło się w pamięci mojej — a wszystko postacie oryginalne...

Oto wpada w bramę „skarbniczek“ czterokonny. W nim rozparty, z pajukiem i hajdukiem na koźle, p. Stolnikowicz Żydaczowski. Mina jego buńczuczna, głos tubalny, ruchy zamaszyste. Znał tam nieco ojca mojego, toż obcesem porwawszy go w swoje ramiona, począł tłumaczyć cel swego przybycia.

— Wielmożny i kochany Sędzio! Kłopot mnie się czepił w postaci sąsiada Pliszki. Taka on pliszka, jak ja zając. Prędzej puhaczem bym go nazwał, taki drapieżny i łakomy. Od antenatów posiadam pole tuż przy lesie tej drapieżnej pliszki. Pole przylega do bitej drogi, toż umyśliłem postawić tam karczmę. Coż robi pan Pliszka? Co cieśle we dnie wybudują, on nocą rozwala i w dodatku materyał w kawałki rąbie. Naraz dostaję od niego pismo, w którem mi jak najwyraźniej karczmę stawiać zabrania, ponieważ zdaniem jego, owo moje pole jest jego własnością — na co przed sądem dowody złoży. Pisma i odpowiedzi posypały się jak z rogu obfitości. W końcu obaj zgodziliśmy się na sąd Wielmożnego Sędziego Dobrodzieja.

Naraz, przez nawpół otwarte drzwi, niby kot, cichutko wsunęła się do izby postać ludzka.

— Do stopek Jaśnie Wielmożnego Sędziego się ścielę. Jestem Jan Chryzostom Pliszka, niegdyś pisarz sądów grodzkich lwowskich, obecnie właściciel Bobówki *cum attinentiis*. Przybywam z bolesnem użaleniem na Wngo Stolnikowicza. J. W. Sędzio! molestuję, suplikuję, apeluję do serca jego, rozsądź najsłuszniejszą sprawę moją, której czystość ot temi tu dokumentami potwierdzam.

Tu z pod żupana wypełzłej barwy, który na plecach, rękawach i piersiach mocno się świecił, począł dobywać stosy jakichś papierów.

Z drugiego pokoju, przez szparę w drzwiach na tego człowieka patrząc, sądziłam że jest brzuchatym. Po wydobyciu jednak papierów stał się cienkim, jak zając wypatroszony.

Przy potulnej niby postawie swojej, tyradę do mojego ojca wygłosił krzykliwym i piskliwym głosem, do którego przywykł zapewne czytając wyroki ławnicze wobec wrzaskliwych przekupek. Robił przytem pocieszne miny twarzą, oczami i haczykowatym nosem, co w samej rzeczy czyniło go do puhacza podobnym.

— Jakkolwiek wielki spotkał mnie zaszczyt — przemówił ojciec mój — że waćpanowie zdajecie się na sąd mój, mimo to, wedle kompromisarskiego zwyczaju. sam sprawy waszej sądzić nie mogę. Wezwijcie panowie, każdy ze swej strony, po jednym arbitrze, a ja będę superarbitrem.

— Jaśnie Wielmożny Sędzio — zapiszczał Pliszka, nadając głosowi swemu ton żałośny — a kogoż ja uproszę? Najlepszym arbitrem są oto te dokumenta, które przedstawiam.

Nic nie pomogło; Pliszka, po śniadaniu, które z wilczym apetytem połykał, musiał siadać na swój obdrapany wózek, do którego nędznie ubrany kmieć, prawdopodobnie poddany jego, swe chude zaprzągł konięta i pojechał.

Przy śniadaniu dobrze go obserwowałam. Wydał mi się typem szachraja i pieniacza, który krętemi drogami do znacznej doszedł fortuny. Sam się chwalił, że u wielu posesyonatów po kilkanaście tysięcy złotych polskich ulokował, że na owem pisarstwie, mimo 200 złp. rocznej pensyi, uciułał 40.000 złp. mająteczku. Dodawał przytem, że jest kawalerem „jak dukat obrączkowy“.

Wszystkim nam się nie podobał ten człowiek, lecz dyskrecya nie pozwalała tego okazać.

Najjawniej okazywał swe niezadowolenie Strzępa, nadworny nasz myśliwy, którego ojciec mój częstokroć używał jako woźnego, do wręczania stronom wyroków kompromisarskich

Strzępa był szlachcicem zagonowym, wielce na swe pochodzenie dumnym. Był to człowiek ze wszech miar uczciwy, lecz ponurego usposobienia, nikt go śmiejącym nie widział. Był znakomitym myśliwym i mimo niewielkiego wzrostu nadzwyczajnie silnym; dość rosłe konie, pod brzuch im podlazłszy, na grzbiecie swym w górę podnosił. On to najbardziej owym Pliszką się irytował.

— Sekator, skurczypałka... *Ut sum eques*, nie wytrzymam, zmiażdżę go, za bramę wyrzucę...

Stolnikowicz u nas pozostał, wyprawił tylko jednego z swych służących z pismem do jednego z sąsiadów, prosząc, aby na następny dzień jako arbitr przyjechał.

Sprawa ta w ten sposób się zakończyła, że przedłożone przez Pliszkę dokumenty, mające świadczyć o jego szlachectwie i prawem posiadaniu owego pola, okazały się fałszywe. Jako pisarz sądów grodzkich lwowskich, z łatwością je podrobił, mający pod ręką papier i pieczęć urzędową. Gdy rząd austryacki, po zajęciu Galicyi, wszystkiej szlachcie dowody swego szlachectwa przedłożyć kazał. kto miał jakie dowody, przedkładał je sądom ziemskim, grodzkim lub Stanom, a te wydawały świadectwa potwierdzające szlachectwo. Dokument dowodzący, że owo pole do wioski, którą Pliszka nabył, należy — był przez niego sfałszowany. Data na papierze, na którym był wystawiony, wedle wodnych znaków, wyraźnie datę roku wyrażających, o pół wieku była późniejszą, niż data na dokumencie wystawiona.

Pliszka z despektem opuścił dom nasz.

Zdarzały się i drażliwsze sprawy. Z obu stron porywano się do korda, zaraz na gorąco w ogrodzie sprawę pojedynku załatwiając. Co nie zdołały rozjemcze słowa arbitrów, to zdziałał obustronny upust krwi. Po odbytym pojedynku obie strony padały sobie w objęcia, i dziesięć lat trwający gniew zawzięty kończył się sojuszem zgody dozgonnej.

Ojciec mój był pasyonowanym myśliwym. Po obsiewach cały czas łowom poświęcał. Polowania te odbywały się zbiorowo. Wszyscy, z bliskiego i dalekiego sąsiedztwa, spieszyli do domu naszego, skoro ich ojciec na polowanie zaprosił.

Był zwyczaj, że w okolicy naszej z dniem św. Michała rozpoczynano łowy. Rozpoczęcie to od lat wielu w kniejach ojca mojego się odbywało.

Oprócz wielu prawdziwych myśliwych, przybywał także daleki nasz krewny, szambelan C.... z dwudziestoletnim synem swoim Ludwikiem.

Obaj hołdując francuskiej modzie, do czego szambelan na dworze Stanisława Augusta, a syn jego we Francji się chowając nawykli, występowali we frakach śmiesznego kroju, najczęściej jasnej, krzyczącej barwy, w trzewikach, pończochach i w perukach pudrowanych z harcopfami.

Jakże śmiesznie wobec polskich strojów wyglądali!

Szambelan i syn jego, całkowicie nie myśliwi, przy nas, jak mówili, „na grzecznej służbie“ pozostawali.

Matka moja i ja, od niej po francusku się nauczywszy, rozumiałyśmy oklepane grzecznostki po francusku wygłaszane, któremi nas młodego udający szambelan i jego syn zasypywali.

Mój Boże, jakże mi się wtedy nudziło! Prędzej radabym podjechać bliżej kniei i posłuchać grania gończaków, odgłosu strzałów i odzywających się trąbek, niż tej paplaniny francuskiej.

Ludwik, który mnie 15-letnią naówczas, jako dorosłą pannę traktował — co mnie mocno konsternowało — na propozycyę moją, żeby tak we czworo bliżej lasu na spacer pojechać, wynudził na matce mojej, że podjechaliśmy tam istotnie we dwie karyolki. Cóż za zajmująca chwila! Dobrana psiarnia ojca mojego grała różnymi dobranymi głosami, jakby jaki chór śpiewaków w teatrze. Gon szedł wyśmienicie, bo gęste padały strzały. Cała byłam w ogniu, tak mnie to zaanimowało. Nic nie zważałam na szwargotanie Ludwika, który wreszcie, nieuwagą tą urażony, rzekł do mnie z przekąsem — ma się rozumieć po francusku:

– Kuzyneczkę, jak widzę mocno zajmuje szczekanie psów i palba jak na kiermaszu. Dziwne, chyba tylko w Polsce to się przydarzyć może, żeby dama znajdowała przyjemność w tak dzikiej zabawie?

Wróciliśmy do domu. Nad wieczorem wróciła także i cała drużyna myśliwska.

Co tam było wesołego gwaru, tem weselszego, iż wynik polowania był świetny.

Oprócz starszych panów, była i dziarska młodzież. Co którego zaczepię, żeby mi polowanie nieco bliżej opisał, wnet zjawiał się Ludwik i wszelkimi sposobami przerywał nam rozmowę.

To mnie w końcu zniecierpliwiło, mówię mu tedy dość szorstko:

— Czego kuzynek łazi za mną jak słota i rozmowę przerywa?

— Bo, bo — odrzekł z bezczelnem wykrzywieniem swej przed czasem wybladłej twarzy, co prawdopodobnie za uśmiech służyć miało — bo dla kuzynki inne, głębsze żywię uczucie...

Słowa jego nabawiły mnie niepokoju, jakkolwiek znaczenia ich dokładnie pojąć nie mogłam.

Drugiego dnia, skoro świt, cała drużyna wraz z ojcem moim do innych wyruszyli lasów. Szambelan i syn jego pozostali. Tego mi było zanadto, osobliwie gdym zauważała, że kochana mama moja, dobrem okiem spogląda na przysiadanie się Ludwika do mnie. Z irytacyi dostałam bolu głowy. Większą, niźli była w istocie, chorobę udawszy, do łóżka się położyłam.

Trzeciego dnia szambelan wraz z synem swoim, chudymi anglezami do domu odjechali, co zobaczywszy, natychmiast z łóżka wstałam.

(Dokończenie nastąpi.)

CO NIECO O SZARAKU.

Biedny szarak! Używa teraz dobrze zasłużonych wakacyj. Broń wisi na kołku, wie on o tem, więc kica sobie po polach, strzyże ukradkiem w ogrodowinach, stawia słupka, a muska się, a parka, bo go bierze trwoga przed strasznymi czokborami i drylingami, i chciałby w trójnasób zabezpieczyć istnienie swego rodzaju na ziemi. Marczak posuwa się już dzielnie i chyca młodzieńczemi skoki, a mama myśli jeszcze o wrześniakach i nazimkach, bo czem więcej, tem bezpieczniej...

Chodźmy bez broni na ramieniu przypatrzyć się biednemu kopyrze, i dajmy miejsce niektórym refleksjom i przysłanym nam zapiskom

* * *

P. Seweryn Kisielewski, wierny przyjaciel *Łowca* tak nam pisze:

Ze wszystkich zwierząt łownych, któremi ludzie w naszym kraju bez względu na zawód i zatrudnienie najwięcej się zajmują i ciągle prawie o nich rozprawiają, jest bezsprzecznie zając. Dlaczego? Oto! najprawdopodobniej dlatego, że, jako najbardziej pospolity, jest prawie każdemu znany, służąc do zaspokojenia różnych potrzeb i namiętności człowieka. Myśliwy ściga go dla nasycenia pasyi łowieckiej, żyd dla zysku ze sprzedaży mięsa i skórki, mieszkaniec miasta dla podrażnienia podniebienia smakiem dziczyzny. Wszyscy przytem rozprawiają o nim, i starają się przyczepić mu, bądźto jakiś niekoniecznie trafny epitet, bądźteż przezwać go jakiemś nie bardzo stosownem mianem. Zebranie i podanie do wiadomości takich przezwisk nie będzie od rzeczy. Więc jako najpokorniejszy sługa i czciciel św. Huberta, ośmielam się stanąć do „apelu“ i niby komendantowi placówki, jakim jest *Łowiec*, (który nas do tego w swoim czasie wzywał), ośmielam się zaraportować kilka, o ile sądzę, nieznanych jeszcze przezwisk biednego szaraka. Są niemi „Kuba“, „ślepak“, „pomykajło“ i „kuternoga“:

„Kubą“ nazywają zająca pastuchy w okolicy Gorlic i to tak, że dla wielu z nich jedynie tylko ta nazwa jest zrozumiałą, jak to sam sprawdzić miałem sposobność.

Wyszedłszy jednego razu ze strzelbą na wydeptanego, chodziłem parę godzin po rolach, a nieznalazłszy nigdzie nietylko zająca, ale nawet kotliny, podążyłem w końcu między jary i krzaki, gdzie pastuchy paśli bydło. Chodząc tam i napowrót pomiędzy jałowce, zbliżyłem się do jednego z pastuchów i zapytałem:

— Nie widziałeś gdzie zająca?

Zamiast odpowiedzi usłyszałem również zapytanie:

— Co pan gadają?

— Pytam się, czyś nie widział zająca?

— Jo nie wiem, co to je — brzmiała krótka odpowiedź — ale moja psina niedawno wysukała gdziesik w jarku kubę i zagnała go tamok, w tamte k acki.

— A gdzież ta psina? — zapytałem znowu.

— A haw! lezy pod ksakiem — odparł i pokazał palcem.

Zwróciwszy wzrok we wskazanym kierunku, obaczyłem leżącego przy krzaczku psa ogromnych rozmiarów. Był to kundys zwykły, ale wyglądem zbliżał się raczej do bry-

tana, niż do mazurskiego, zamizerowanego stróża chaty. Że zaś i odżywianie tego ogromnego psiska, tak, jak i jego budowa, były również niezwyczajne, więc zadziwiony tem wszystkiem, skąd mazur, żywiący się tylko kapustą i ziemiakami, jest w stanie jeszcze i swego stróża chaty tak dobrze wypasać, zapytałem:

— Co wy dajecie w domu temu psu jeść, że on tak dobrze wygląda?

— Ktobyta onemu co dawał! To taka dobra psina, że się sama żywi — odpowiedział.

— Jakto sam?

— Ano tak prose pana; jak mu sie chce zryć, to idzie w pole i suka, a jak znajdzie kubę, to goni az go złapie, a potem jak sie weźmie do niego, to zezre do cysta.

Przyznam się otwarcie, że miałem wielki gust, nakarmić tym razem psinę ołowianym grochem, lecz obawiając się konfliktu z sądem, zmuszony byłem ograniczyć się na życzeniu, aby się udławił, albo zdechł na otłuszczenie serca i na zanotowaniu sobie owego strasznego „kubożercy“, celem wykonania wyroku śmierci, gdybym go spotkał *in flagranti*.

W Kolbuszowskiem nazywa lud wiejski zająca: „ślepakiem“, „pomykajłem“ i „kuternogą“. Wyrazy te słyszałem częścią na polowaniu od naganiaczy, częścią zaś od mojego dozorcy polowania, który mi opowiadał, że „pośladując, czy psy i koty nie robią jakiego despektu“ widział parę razy, jak „kuternoga“ z pod nóg mu wyskoczył.

* * *

Mała to tylko cząstka terminologii zająca: kot, szarak, gach, ślepak, wacho, jepur, spioch, wytrzyszczak, skotak, korpal, koszlon, kopyra, albo wedle barwy: siniak, rusak, albo według wieku marczak, wrześniak, nazimek — oto litanja przezwisk zajęczych. „Skromny“ zając, to tłusty, czyli taki, w którym dużo „skromiu“ zajęczego — chudego, zaś wedle świadectwa Klonowicza, zwali myśliwi „wątrobą“.

A zwyczaje zająca przeszły do przysłowiów. „Umizga się by ogrodny zając“ — mówi Rysiński o takich, którzy myślą, jakby się wymknąć i dać drapaka; tchórzów zwiemy ludźmi „zajęczego serca“ — oblewają ich też „zajęcze poty“ w chwili niebezpieczeństwa, chociaż „przed Kupidynem — jak mówi Naruszewicz — i Mars sam zającem“. O niewieście, co cerę ma piękną, mawiano, że „zające jada“ — choć może tylko zajęczej łapki do blanszu używała, a gdy Mars, przychwycony na zabawach Kupidyna przy takiej „co zające jada“, wymknął się i uciekł, to mawiano o nim, że „pocałował nóżki“ — jak zając, gdy się chartom wymknie. Lecz gdy zając drogę przebieże — he-hej nie masz wtedy co robić człowiecze, bo zła cię czeka godzina...

A owe stare pieśni myśliwskie, krotochwilne o zajączku? Któż ich nie zna, a ileż razy warto je sobie przypomnieć i powtórzyć dla ich humoru? Oto pieśń o „zającu pod miedzą“ wedle najstarszych waryantów, tak jak je podał Żegota Pauli:

Siedzi zajączek pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą,
Po chróślinie zaszczuwają,
Trąbią, krzyczą i wołają
Na niego.

Zając w kniei spi, dyszy,
A myśliwi zmokli jak myszy,
Po chróślinie rozpuścili
Konie, szaty porosili
Także psy.

Zając siedzi pod knieją,
A myśliwi z wielką nadzieją
Chcą, żeby go wystraszyli,
Wystraszywszy odmienili
Las w psiarnię.

Wysforowali swe ogary,
Krzyczą niewymownie bez miary,
Już kornety i cymbały
Wydawały głos nie mały
Tam, tam, tam.

Jedni krzyczą w borze weseli,
Chociaż chleba ani widzieli,
Drudzy pod borem czekają,
Pilnie patrzą i słuchają
Muzyki.

Zając skoro trąbkę usłyszał,
Bieży prędko, aż się zadyszał,
Wybiegł nieborak na pole,
Jedni w górze, drudzy w dole
Czekają.

Radzi mu, a on ich nie wita,
Od strachu i drogi nie pyta,
To bruzdą, to przez zagony
Bieży prędko, choć strudzony,
Jak może.

Obejrzy się zając po chwili,
A myśliwi charty spuścili
Wszyscy gonią nadszczuwając,
A on testament zmyślając
Narzeka.

„Cóżem ja komu zawinił?
Lub takiego złego uczynił?
Ja ubogi trawką żyję,
Zamiast wina rosę piję
Sierota.

Siedzę sobie w zbożu jak w domu,
Nie uczynię szkody nikomu,
Jeśli też w kapuście siadam,
Po listeczku na dzień zjadam,
Nie jak wół.

Woła nie wywiodę z obory,
Ani nie wyłupię komory,
Nie porwę się na zabicie,
Nie strzelę, bo i mnie życie
Jest miłe.

Gęsi, kur, kaczek nie trapię,
Spiąc patrzę, nie krzykam, nie chrapię,
Nie przebudzę i czujnego,
Nie rozgonię i małego
Ptaszęcia.

Z drogi zawsze schodzę każdemu,
Chociaż i dziecięciu małemu,
W lesie nie odrę nikogo,
Przecie się ze mną tak srogo
Obchodzą.

Nie wiem, com takiego uczynił,
Com panom myśliwym zawinił,
Że tak wielu mnie jednego
Gonią zwierza ubogiego,
Jak zdrajcę.

A chowają na mnie ogary,
Puszczają do lasa bez miary;
Więcej ich kosztuje strawa,
Niżeli ze mnie potrawa
Na stole.

Bo u mnie mięso konina,
Ale tylko zdobi słonina,
Zadki szperką naszpikują
I na smalcu przygotują
Podlewą.

Gdy mi na dobrą noc zagrają,
To tu żaczek wołają;
A ja nieborak w żałości
Naskakać się do sytości
Nie mogę.

Puścili swoje sokoły,
Orzeł mnie dogania wesoły;
Ja kusy uciekać muszę,
Ochraniając swoją duszę,
Co za dziw.

Gonią, trąbią, krzyczą; ja macham,
Tu zaś ich harapu nie słucham,
A gdy doskocze zobaczę,
Nie uciekam, ale skaczę
Od strachu.

Rozsforowane już charty
Rączo lecą w skok zażarty,
A tu, tu, tu, sa, sa, sa, sa,
Już zajączek blisko lasa,
Już on pan.

Skoro zajączek już w lesie,
Na myśliwych kosmyk podniesie:
„Wy ogary, wy myśliwcy
Całujcie mię w kurtę wszyscy,
Już ja pan.

„A com uciekając pogubił,
Tom panom myśliwym poślubił,
W testamencie zapisuję,
Panom myśliwym daruję
Na bankiet.“

Następujący, widocznie późniejszy waryant i muzykę do niego podaje Wacław z Oleska:

Siedzi sobie zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą;
Psy po polu rozpuścili,
Krzyk i łoskot uczynili,
Był tu kot, był tu kot.

Wszystko to jest chłopskie udanie,
Był tu stary zając mospanie,
Dzisiaj rano siedział w życie,
A dopiero pobiegł skrycie,
Czem prędzej, czem prędzej.
Cóż ja tym myśliwcom zawinił,
Czy jakową szkodę uczynił?
Choć w kapuście czasem siadam,
Po listeczku tylko zjadam,
Nie jak wół, nie jak wół.
A ja wina, miodu, nie proszę,
Za cóż taką biedę ponoszę?

Ja na łąkach sobie żyję,
Zamiast wina rosę piję,
Sierota, sierota.

Grochu nie wytłoczę, ni prosa,
A w jęczmień nie pójdę, bo rosa,
Ja kusy uciekać muszę,
Ocalając swoją duszę,
Bo mi żal, bo mi żal.

Rozpuścili charty ze smyczy,
Rozumieli, że go uchwycą;
Oni mówią: sa, sa, sa, sa,
A ja czem prędzej do lasa,
Już ja pan, już ja pan.

Wróćcieże się charty biednięta,
Nie będziecie mieli zwierzęta;
A już ci się posmucili,
I paszczęki pokrzywili,
Wielkie kpy, wielkie kpy.

A skoro zajączek jest w lesie,
Na myśliwych kosmyk podniesie.
Całujcie mię w kurtę wszyscy,
Doganicze i myśliwcy,
Skorom tu, skorom tu.

A nakoniec jeszcze jedna dziadowska pieśń ruska o zającu, zbiorom pieśni nie znana, o której wspomnieliśmy już w nr. 1. *Łowca* z r. b.

Król dziadów z pasieki Dziedziłowskiej tak w niej opiewa zajęcze wesele:

Zizła sia wsia zwiryna do swojej hromady.
Posadyły medwidia do stoła, do rady,
Stały radu radyty, kohoby tu wżenyty?
Ożenym zajacia, mołodoho mołodcia,
Nechaj zajać żinku maje, naj po lisi ne hulaje.
Z kim-byż ho żenyty? Z mołodoju kunoju.
Nechaj zajać żinku maje, naj po lisi ne hulaje!
Dyka swyni, hospodyni, isty zwaryła,
Wepryk żwawy do zabawy donis horiwki i pywa.
Tchir buw drużbu, Chomiek za piddrużbu,
Hornostaj za muzyku, hraje wiwat do rozpuku,
A soroki, kawki, skaczut wyższe ławki,
Bidna nasza hołowońka, ne majem cembałki;
Nurka drużka a wywirka swaszka,
I tak wsioho mnoho, zajaciwa czastka.
Kuna kurej nałapała, napekła peczeni,
A pryłetiw jastrib zabraw w obi żmeni.
Zizła sia zwiryna do łewa do ślubu,
A wowk wyhawkuje, rwe na wsiuju hubu *)
Wowk korowaj kraje, a łew wsim rozdaje,
Z pidoszwy z korowaju sam do harła pchaje.
Siła kuna za stołom z wełykoj złosty,
Na szczoż ja polubyła takoho kucochwosty?
Mucha sia upyła, z chruszczom sia pobyła,
Ta wytiała chruszcza w zuby, aż upustył kryła.
Z żalu chruszcz wpyw sia, ta na sowu zwaływ sia,
Sowa żartiw ne znała, chruszczowi w pysok wtiała.
Siw zajać za peńkom i dumku dumaje:
Ożenyw sia, stratyw sia, taj żinki ne maje.
Staw sia win tieżko żuryty,
Szczoż ja bidnyj budu bez żinki robyty?

*) Tłumaczenie dodatkowe: „Bo sia upyw“.

Medwid jemu radyt ta i naradżaje:
Idy meży driwa, ona tam prebuwaje,
Traż jeju z wittam kłykaty,
Taj na rozum jej skazaty.
Zakasaw sia zajać po samyj kolina,
Wziew sobi na kunu dobroho polina. **)
Staw jeju byty, na dobre uczyty,
Idy moja żinko do domu robyty.
Taki mia ty byj, taki mia ty zabyj,
Ja tebe ne lublu, bo ty ne ładnyj.
Majesz ucha dołhi, sameś koroteńki,
A po pid chwistok trochu łyseńki.
Żeb ty maw chwostyk dowszyj, jabym tia lubyła,
Jak moje zdorowie tebe hołubyła.
Ne żurysia moja myła, szczoś muszu zrobyty,
Muszu ja sobi chwostyk dowszy pryczepyty;

Siw zajać pid meżeju i dumku dumaje,
A za nym w ślid striłec, win z witrom wtikaje.
Idut strilci za nym, chutko win wtikaje,
Ta szczoż bidny zajać i robyty maje?
Zdybały sia z łysom. „Szczo ty tak wtikajesz?“
„O, jak idut strilci, to i ty zmykajesz,
Ja muszu wtikaty, muszu sia bojaty,
Bo idut strilci, budut zabywaty.“
Piszow zajać z łysom, tak sobi hadajut:
„Szczoż teper robyty, koły nas chwytajut?“
Bidna kuna wstała, taj sobi dumaje,
Sczo swoho czołowika nihde ne widaje.
Chodim meże lisy, czoho tu sedyty,
Szczo bidna zwiryna bude tu robyty?
Aż pryichaw pan Kaniowskij ze swoimy psamy,
Taj porozhaniaw zwirynu wsimy storonamy.

KORESPONDENCYE.

Stare Brody w maju 1890.

(Z zapisków delegata.)

Już po polowaniach, a trudno delegatowi podać liczbę zabitej zwierzyny w swoim okręgu, a szczególniej tu w Brodach, bo najwięcej jej ginie z rąk kłusowników. I tak, w Brodach, w jakim kto chce czasie może dostać sarnę u żydów za 5 zł. W biały dzień na ulicy proponował mnie samemu żydek, czy nie kupię sarny. Pytam: Może rogacz? „Ale nie, śliczna sarna, która waży 55 funtów“. Powiedziałem o tem dyrektorowi dóbr brodzkich, a także i żandarmeryi, ażeby wyśledzili źródła tego handlu i poskromili go.

Ależ to wielka ciekawość, ci tutejsi kłusownicy! Widziałem ich 58 razem zebranych. Jakie strzelby! jacy ludzie! Zapewne nie wierzycie? No to muszę opowiedzieć, jak się to stało.

W Brodzkich lasach nad Styrem, w niedostępnych łozach i bagnach, wywiodły się wilki, a latem już zaczęły takie szkody robić, że ze starostwa zarządzono na nie obławę. Ciekawością zdjęty pojechałem i ja, chociaż wiedziałem, że się jak zwykle nie uda. I tak się stało, chociaż nagonki było 450 ludzi, a ze 70 strzelców. Tam to widziałem tych dzikich strzelców, stojących jak baranki przy żandarmach. A byli i starzy i młodzi, boso i w łapciach, strzelby długie i krótkie jak pistolety; torby borsucze jeszcze widać po pradziadach. W jasny ten piękny dzień spoglądali oni niedowierzająco z podełba, a z ócz im patrzało, że passyonowani i dobrzy z nich strzelcy. I jakże tu się dziwić, że mało zwierzyny w lesie? Wszakże na pewno każdy z nich zabije, co roku najmniej dwie sarny — jeżeli nie więcej. A mają oni swoje sadyby w niedostępnych miejscach, bo zacząwszy od Bołdur do Stanisławczyka, a dalej aż do Rudy, nad Styrem są porozrzucane. Z jednej strony rzeka, a z drugiej las, dróg tam prawie nie ma. Nazywają się te osady: Wójtowicze, Kozaki, Bordulaki itd. Ja te miejscowości trochę poznałem, polując na dubelty. Bez czółen nie można się tam dostać, bo rzeczek i kanałów dużo. Dawniej ci kłusownicy polowali w biały dzień, zbierało się ich sześćdziesięciu, 30 naganiało, 30 stało na stanowisku, a ze strażą leśną formalne bitwy staczali.

Przysłowie mówi, „że zwierzyna trzyma się myśliwego“ i to jest prawdą, ale dlatego prawdą, że prawdziwy myśliwy prześladuje kłusowników, karmi po lasach zwierzynę, a tępi drapieżników. W naszej okolicy ledwie kilku wyliczyć mogę dobrych myśliwych i tak: Pieniaki, hr. Włodzimierz Dzieduszycki, Kąty, pan Władysław Gniewosz, Toporów, hr. Baworowski, Korsów, pan Bogusław Horodyński, ot zdaje się i wszyscy. Jeszcze muszę dodać: hr. Cetner i p. Józef Miączyński. Reszta zaś majątków, jeżeli ma sarny, to zawdzięcza je wyżej wymienionym panom. A lasy są śliczne. Brodczyzna ma 30.000 morgów, Łopatyn 18.000, są tam dziki, sarny, cietrzewie, jarząbki, tylko wszystkiego mało. Nie tak jak u pana Gniewosza w Rażniowskim lesie, gdzie stan sarn jest nadzwyczajny i cietrzewi bardzo dużo, a też graniczy z Brodzkiem. Cietrzewie w naszej okolicy rozmnożyły się i tam, gdzie ich dawniej nie bywało, teraz są n. p. w lasach Oleskich i w Podhorcach, także w Białym Kamieniu i Jasionowie, p. Gniewosza. Jarząbki są w Brodczyźnie, Korsowie, a także w Pieniakach.

Z odbytych polowań w moim powiecie doniosę innym razem. A teraz będę mówił o polowaniach, gdzie sam brałem udział. Zaczynam od błotnego. Dubeltów w 1889 roku na naszych ślicznych błotach było dużo; ciąg zaczął się koło św. Anny i ten pierwszy był najlepszy; 25 lipca w deszcz wyjechałem sam na Sznyrowskie błoto i zabiłem 35 dubeltów, to był najlepszy dzień; 26 lipca zabiłem 23; 1 sierpnia we dwóch z p. starostą Czarkowskim zabiliśmy 43. Potem już dobrych ciągów nie było tak, że kiedy przyjechał Leopold Starzeński 3. sierpnia, we dwóch zabijaliśmy 20 dziennie. Razem padło na samym Sznyrowie 311 dubeltów, z których ja zabiłem 173, 86 kszyków, 9 chruścieli, 22 przepiórek i 4 ceranki. Dodać muszę tu, że Bołdury były suche. Do kuropatw nie strzelałem w tym roku, a nawet sąsiadów namówiłem, żeby nie strzelać, gdyż te dwie zimy ostatnie zmniejszyły stan kuropatw. Słonek zabiłem tylko 3, bo gdzie polowałem, tam mało ich było. Ogromne ciągi były na Podolu. Mówił mi JE. hr. Siemiński, że we dwóch w Chorostkowie w tydzień zabili 115 sztuk. W Pie-

**) Interpretacya dodatkowa spiewającego: „Bude byw!“

niakach, w Złoczowskiem, w Lackiem także dużo było. A w tymże czasie w Lisowicach, w królestwie słonek, przez tydzień padło tylko 15 sztuk, z których ja jednę zabiłem.

Kiedy wspomniałem o Lisowicach, chętka mnie zbiera. napisać parę słów o nich. W jesieni, 10 października, zjechali się towarzysze do Lisowic, dlatego wcześnie, żeby zastać jeszcze niedźwiedzie, które po pierwszych mrozach ruszają w góry. Niedźwiedzi tego lata nie było, ale zastaliśmy wiele jarząbków. W sześciu dniach padło ich 38, notabene biorąc duże mioty na grubą zwierzynę. Pamiętam jeden dzień, w tak nazwanych paradnych miotach, padło 18, i nie wiem do jakiejby doszło liczby, gdyby polowanie nie zostało przerwane wiadomością o śmierci Kazimierza Wodzickiego. Wiadomość ta jak grom w nas uderzyła i każdy, który miał z sobą czarne ubranie, pospieszył na pogrzeb do Olejowa, ażeby ostatnią przysługę oddać założycielowi towarzystwa Lisowickiego i długoletniemu prezesowi tego towarzystwa. Cześć jego pamięci, a pamięć ta wieki w Lisowicach przetrwa.

Zaraz wchodząc do pokoju jadalnego, widzisz tu prześliczną niedźwiedzicę, obejmującą łapami grube drzewo, potem głowa ogromnego odyńca z napisem hr. K. Wodzicki zabił dnia tego i tego, tam i tam. To trofea p. Kazimierza. A już tę piosnkę, którą pan Kazimierz śpiewał po każdym szlemie: „Wędrowali szewcy“ — to ta zostanie już zawsze w Lisowicach i każdy, śpiewając ją, wspomni sobie p. Kazimierza.

Rezultat Lisowickiego polowania zamieścił w „Łowcu“ pan sekretarz. Ja tylko dodam, że wypadło świetnie i że od czasu expressów podstrzałków niema. U każdego z towarzyszy nie zobaczysz innej broni jak dryling i to z fabryki Molnara albo Nowotnego, jednakże z żalem muszę powiedzieć, że Nowotnego więcej, i to nie dlatego, żeby broń Nowotnego biła lepiej, ale że wykończenie broni jest dokładniejsze.

W pierwszych dniach lutego widziałem strzały z drylinga Molnara doskonałe, prawda, że mistrzowską ręką zadane, przez prezesa Lisowczyków, Władysława Bzowskiego, a to kulami dublety do maciory i warchlaka, a także śrótem na 80 kroków do lisa, przez linijkę, i na miejscu, ani drgnął! Widziałem także 2 drylingi Molnarowskie u hr. Leopolda Starzeńskiego znakomicie bijące, tak kulami jak śrótem, z których i sam dobrze strzelałem, a jeszcze więcej dobrych strzałów widziałem danych przez ich właściciela. Dlaczego więcej takich pan Molnar z fabryki nie wydał? niechaj się sam tłómaczy.

W Lisowicach zabiłem 4 rogacze, 5 lisów, 1 zająca, 5 jarząbków i 1 słonkę.

W Wysuczce na Podolu u p. Tadeusza Czarkowskiego padło: 1 odyniec, 16 rogaczy, 9 lisów, 253 zajęcy. Polowaliśmy dni pięć, na tydzień przed Bożem Narodzeniem, a czas niespostrzeżenie prędko przeszedł w gronie miłych towarzyszy i w domu prawdziwie gościnnego po staropolsku gospodarza.

Potem polowałem u ks. Jana Sapiehy w Kłodnie i Bilce. Rezultat łowów podał hr. Starzeński i pan Czerkawski, ja tylko prostuję, że w Kłodnem padło 40 zajęcy w dwóch dniach w 6 strzelb, a w Bilce 59. Razem zatem 99 zajęcy w 4 dniach.

Donoszę do *Łowca* o nowo zawiązanem Towarzystwie myśliwskiem w Dunajowie, w dobrach arcybiskupich. Prezesem obrany jest Władysław Czerkawski, sekretarzem Wiktor Niezabitowski, do Towarzystwa przystąpili, Juliusz Bielski, Stefan Szembek, Leopold Starzeński, Franciszek Jaruntowski, Stefan i Michał Tustanowscy, Kazimierz Rudnicki, Marceli Tyszkiewicz, Jan Sapieha, Tadeusz Czarkowski, Wincenty Podlewski i Kazimierz Wierzchlejski. Towarzystwo przyjęło statut Lisowicki. Na próbę polowaliśmy 20, 21 i 22 lutego; każdego dnia strzelano do dzików i zabito 5 dzików, 11 rogaczy, 3 lisy. Spolowaliśmy ledwo połowę miotów, a jest tam trzy osobne rewiry, razem do 5.000 morgów. Przez pierwsze dwa dni polowania widzieliśmy dużo zajęcy i ładny stan sarn, zato trzeciego dnia mało, bo, jak nam mówiono, rewir ten graniczy z gniazdem kłusowników, a pan starosta nie myśliwy! O, proszę wierzyć, że to bardzo wiele znaczy!

W trzecim rewirze zupełnie nie byliśmy. Mamy polować tydzień w listopadzie, a drugi raz po śniegu w lutym, ale ta kwestya jeszcze nie zupełnie omówiona. Mieszkanie mamy doskonałe w zamku, zbudowanym z początkiem zeszłego wieku, ale utrzymanym świetnie przez pana dyrektora dóbr Dunajowskich, który nas po polsku gościł, a w kniei jako dobry myśliwy prowadził. Piszę „dobry myśliwy“, bo nietylko zna knieję, ale dba o zwierzynę, a prześladuje kłusowników, czego dowodem odebrane strzelby, a przytem kilka procesów w starostwie i sądzie. Muszę tutaj zanotować i to z ż a l e m, że jak nam mówił pan dyrektor, podał jednego kłusownika do starostwa i że już rok, jak żadnej odpowiedzi nie ma...

W Boratynie, należącym do hr. Olgi Borkowskiej, zdarzył się wypadek z dzikiem. Gajowy daje znać leśniczemu, że obciął dzika, ten zbiera kilku myśliwych i nagonki, bierze miot i dzik wychodzi na niego. Leśniczy strzela, dzik pada, ale kiedy do niego podchodzi, dzik się zrywa i do niego się zabiera. Leśniczy rzucił strzelbę i na drzewo, a dzik pomału odchodzi. Leśniczy z drzewa, chwyta za strzelbę, nabija, strzela, ale że strzelba była śniegiem zatkana, rozrywa mu się w rękach, a dzik poszedł. Lecz nie koniec na tem, dzik wyszedł na pole, a tam kilku kłusowników dalej go dobijać, lecz dzik rzuca się na jednego i tnie go do kości w nogę, sam zaś przewraca się i ginie. Leśniczy dzika od kłusowników odebrał, tego zaś pokaleczonego człowieka odwieźli do szpitalu.

Jest paręset-morgowa knieja, należąca do Czech, majątku pana Krajewskiego. Polowanie trzyma Towarzystwo Lwowskie i poluje kilka razy do roku. Zabito tam 9 rogaczy, kilka lisów i do 100 zajęcy, jak mi mówił naczelnik stacyi w Zabłotcach. Jestto świetny rezultat jak na nasze strony, ale to się tłumaczy tem, że ta kniejka graniczy z lasami pana Władysława Gniewosza.

W Łopatynie odbyło się polowanie w końcu stycznia i pierwszych dni lutego, zabito 4 rogacze, 2 lisy, 18 zajęcy.

W Korsowie polowania na zające, w tym roku nie było; zabito tylko kilkanaście rogaczy na podjezdnem. Stan sarn ogromnie się powiększył. Widziałem sam jeżdżąc, do stu sarn, a zabiwszy z expressa rogacza, wróciłem do domu z tem miłem wrażeniem, że stan zwierzyny co roku się podnosi. Przed 8 laty zastał tam p. Bogusław Horodyńspi tylko 3 sarny w całym lesie.

Podaję zabitą przezemnie zwierzynę przez przeciąg 5 lat ostatnich:

1885 r.	488	sztuk
1886 „	386	„
1887 „	748	„
1888 „	499	„
1889 „	400	„
Razem	2.521	sztuk.

Mianowicie: dzików 15, lisów 43, rogaczy 46, zajęcy 448, dubeltów 763, kuropatw 285, słonek 42, jarząbków 20, a resztę 795 kszyków, przepiórek, chruścieli i szkodników. Kaczek mało, bo mało na nie poluję.

W końcu stycznia przysłał mnie Nowotny z Pragi dryling, obstalowany przezemnie w grudniu. Lufy do śrótu, ciągniona 16-calowa, a expresowa lufa 450. Pierwszy raz miałem go w Biłce u ks. J. Sapiehy i zabiłem 2 rogacze, 1 lisa i 14 zajęcy, w Lisowicach zaś 4 rogacze, w Korsowie z expressa rogacza na podjezdnem, w Dunajowie 1 dzika i 2 lisy, a teraz na wiosnę 10 słonek. Mówię szczerze, że tak śrótem grubym jak cienkim doskonale bije; express naturalnie, że doskonale. Do dwóch rogaczy i kilku zajęcy strzeliłem na 80 kroków, a do czterech słonek jeszcze dalej i padły z dymem, przytem bardzo „zdybny“! Bo ja wierzę, że jedna strzelba przyciąga zwierza, a druga nie i to tyle razy sprawdziłem, że zupełnie tego za zabobon nie uważam. Zresztą piszę te słowa dla myśliwych i wiem, że mało jest takich, którzyby w to nie wierzyli. Zapewne, że są ludzie, którym dasz w rękę jaką chcesz broń i postawisz na najgorszem miejscu, a zawsze będą strzelali, naprzykład pan St. Piegłowski do każdej zwierzyny, a p. Stefan Tustanowski do dzików. Ale ja mówię w ogóle do myśliwych; dla wybrańców wszędzie i wszystko dobre.

W Brodczyźnie polowania odbywają się co soboty, przez całą zimę. Dzików tej zimy było mało, bo poszły do Toporowa, gdzie je karmiono, ale słyszałem, że w Busku i Kamionce było bardzo dużo. Lasy te się łączą, a przytem dziki lubią wędrować. Ciąg słonek był tu nie zły, ale za to parę mil się jedzie, a wraca się nocą i po złej drodze, więc dwa razy tylko jeździłem i to już poźniej, bo z początkiem ciągu drogi są niemożebne.

Polowałem więcej w górach. W Czernicy zabiłem z nagonką jednego dnia pięć, drugiego jedną, a w Lackiem trzy słonki na ciągu. Jednego wieczora przed deszczem w parny czas widziałem 20 słonek, a ciągnęły pewno ze trzy kwadranse. Tak długiego ciągu nie pamiętam! Było to 9 kwietnia, a mówiono mi, że przed świętami, jeden strzelec jednego wieczora, strzelił na ciągu 12 razy, a raczej do dwunastu słonek! Dzięki więc Bogu słonczy ród nie zaginął, pomimo strzelania wiosennego, bo przyznaję się, że zawsze byłem i jestem za strzelaniem słonek na wiosnę. Nie powiem tego o dubeltach i byłoby mi bardzo przyjemnie wyczytać już kiedy w „Łowcu“, że zakazuje się je strzelać na wiosnę. Nie dalej, jak parę tygodni, słyszałem, że jeden starosta nawet zabił 9 dubeltów. Sam mi się chwalił — i cóż miałem mu powiedzieć, kiedy prawo pozwala? A szkoda! bo dubelty się u nas gnieżdżą! Ta kwestya, jak również to, żeby zające dopiero od 1 października były strzelane, powinno być poruszone na najbliższem zebraniu Towarzystwa łowieckiego.

W lesie Suchodolskim, graniczącym z Brodczyzną i Rażniowskim lasem pana Władysława Gniewosza, na polanach, tokowało kilkanaście cietrzewi — już za późno dowiedziawszy się, nie polowałem. Ale gajowy tamtejszy mówił mi, że ślicznie grały aż do 9 godziny rano, co dnia od początku wiosny. Dowiedziałem się o tem 20 kwietnia, kiedy ostatni raz byłem na ciągu słonek, (których już nie było) prosiłem więc, żeby zrobił budkę i dał znać, jeżeli jeszcze grają. Ale widać już grać były przestały, bo nie miałem wiadomości od niego. W naszej okolicy nie znany jest ten rodzaj polowania na toku, a przecież taki śliczny!

Marceli Tyszkiewicz
delegat.

Z nad Stryja w maju.

(O stosunkach łowieckich.)

Kto zna okolice Stryja, a jest do tego myśliwym, ten zapewne nieraz, przejeżdżając czy to wózkiem czy też koleją, pomyślał sobie, że tu musi być zwierzyny podostatkiem. Ciężkoby się jednak zawiódł, gdyby z bronią w ręku „przebuszował“ choćby najładniejsze tereny myśliwskie. Z wyjątkiem kilku obszarów dworskich większej własności, które słyną z dobrego zwierzostanu i ochraniają przez to całą okolicę od wyniszczenia zupełnego zwierzyny, reszta gminnych i dworskich polowań to pustka prawdziwa. Bujne i urodzajne łany nad rzeką Stryjem, poprzerzynane gęsto łąkami, łozami i zaroślami, bliskość lasów, obfitość wody, a więc wszystkie te rozpłodowi zwierzyny sprzyjające warunki, nie na wiele się przydają wobec tego, że biednego naszego szaraka lub sarnę tępi niemiłosiernie ręka kłusowników, których okolica nasza niestety dosyć liczy. Energiczne ściganie i karanie kłusownictwa ze strony tutejszego c. k. starostwa i sądu, gęste patrole żandarmeryi i straż prywatna pojedynczych myśliwych, rozbijają się niestety o niejasne postanowienia ustawy myśliwskiej, która dozwala znanym kłusownikom nietylko mieć broń w domu, ale i gminne polowania wydzierżawiać. A że kłusownik każdy zbyt dużo ma sprytu, by się pozwolił ująć na gorącym uczynku i strzelbę w polu lub w lesie dał sobie odebrać, więc też i patrole żandarmeryi nie budzą u kłusowników postrachu.

Jak znów wygląda teren myśliwski, dzierzawiony przez chłopa kłusownika, każdy myśliwy wie dobrze o tem. W kilkanaście dni po 15. września nie znajdziesz tam prawie biednego zajączka — bo zaraz po otwarciu polowania rozpoczynają się gremialne i luźne chłopskie polowania, a czego nie wybije ręka samego dzierzawcy, tego dopełnią kłusownicy, znajomi, krewni i przyjaciele, a resztę wyłowią psy i koty, włóczące się bezkarnie po polach i lasach. Trzeba znać chłopską cierpliwość i wytrwałość, by móc sobie wyobrazić, w jaki sposób chłop, mający broń lichą, a do tego prawie zawsze lichy strzelec, potrafi w krótkim czasie wybić do nogi zające w swoim i cudzym obszarze.

Miałem nieraz sposobność obserwować przez dłuższy czas chłopów myśliwych, polując w rewirze, przytykającym do chłopskiego polowania. Na nieduży łan kartofli, koniczyny, lub kapusty, wchodzi kilku chłopów w niewielkiej od siebie odległości. Krocząc zwolna z wymierzoną lufą, poważnie i z uwagą baczą na każdy krzaczek kartofli, i biada kotowi, gdy go chłopskie oko zobaczy. Rzadko i prawie nigdy nie strzela chłop do pomykającego kota; jak lis, woli on go nadybać śpiącego — poczem, wymierzywszy celnie, strzela doń siekańcem.

Zdarzyło się raz w moich oczach, że chłop strzelał 5 razy do śpiącego zająca i każdym razem spaliło mu na panewce; aż cofnąwszy się o kilka kroków i nałożywszy świeżą kapslę, szóstym dopiero strzałem go ubił. Gdy mu zając nie dotrzyma i pomknie przed nosem, rzadko doń strzela, ale zapamięta sobie dobrze jego legowisko, by nazajutrz go wypatrzyć i robiąc to z stopniową ostrożnością aż do skutku, wybiera po jednemu wszystkie zające z swego obszaru. Czasu do tego mu nie braknie, gdyż chłop kłusownik rzadko kiedy gorliwie gospodaruje — woli zaniedbać pilnej roboty gospodarskiej lub zdać ją na kogo innego, byle tylko mógł swobodnie polować. Wybrawszy tak wszystkie zające już we wrześniu i początkach października, oczekuje najspokojniej na przybysze, które zwykle z powodu rozpoczętych polowań w listopadzie chętnie zmieniają miej-

sce pobytu — a przez ten czas robi wycieczki kłusownicze nad ranem lub pod wieczór na zasiadkę, w obcych naturalnie rewirach, wyrządzając tam dotkliwe szkody.

To też nic dziwnego, że polowanie w naszym powiecie na zające w gminnych rewirach trwa — można śmiało powiedzieć — do 1. listopada, poczem myśliwi zwykle schodzą ze stanowisk bez strzału.

Znaczna ilość dóbr żydowskich w naszym powiecie, przyczynia się również do słabego zwierzostanu. Żyd, z zasady nie myśliwy, pozwala wszystkim polować w swoich dobrach, kto tylko ma z nim jakikolwiek interes, a że goście myśliwi wiedzą o tem, więc nie czują potrzeby szanowania w ten sposób użytkowanej własności prawa polowania — i w owych rewirach żydowskich już w samym początku zimy wszystko do nogi wybite.

Opłakane te stosunki nie dadzą się naturalnie w krótkim czasie poprawić, bo złe zakorzenione jest zbyt głęboko, chyba nowa ustawa myśliwska, będąca w projekcie, zdoła je może wyplenić.

Powiat nasz i miasto Stryj ma wiele tęgich i prawdziwych myśliwych, z których każdy, ile może, dotychczas do poprawy stosunków łowieckich się przyczynia i na polowaniach, prócz na zwierzynę, również i na kłusowników poluje. Usiłowania te chwalebne pojedynczych jednostek były jednak dotychczas bez skutku, bo brak racyonalnej gospodarki łowieckiej na większych obszarach, a tylko ona mogła przynieść widoczną korzyść i zmianę na lepsze.

Dopiero w październiku roku zeszłego, poruszyło kilku myśliwych od dawna już podnoszoną kwestyę zawiązania towarzystwa myśliwskiego, by wspólnemi siłami wypowiedzieć walkę kłusownictwu i zacząć naprawdę gospodarować. W krótkim przeciągu czasu doprowadziliśmy też do tego, że dzisiaj mamy już potwierdzone przez Namiestnictwo statuta, regulamin i 20 członków czynnych, których ofiarność, okazana dobrowolnem odstąpieniem dzierżawionych przez siebie rewirów na rzecz towarzystwa, umożliwiła już w pierwszych początkach istnienie tegoż. Jakoż gospodarujemy już na pięciu kompleksach myśliwskich o znacznych przestrzeniach. Wydział, wybrany na lat trzy, a składający się z prezesa, jego zastępcy, skarbnika i sekretarza i 2 łowczych, wypracował regulamin dla członków, przyjął straż myśliwską i zaczął w imię Boże energicznie gospodarować.

Wielką nadzieję skutecznej pomocy pokładamy w naszych władzach tak rządowych jak i autonomicznych, a okoliczność ta, że towarzystwo nasze doznaje zaraz w pierwszych początkach życzliwego poparcia powyższych władz, dodaje nam otuchy i zachęty do dalszej pracy.

Na razie składa się nasze towarzystwo przeważnie z członków mieszkających w Stryju i jako takie ma zamiar wszystkie rewiry myśliwskie w bliskości Stryja wydzierżawić; postawiło sobie jednakże za zadanie w przyszłości rozszerzyć się i rozwinąć na cały powiat stryjski, by móc na większym obszarze skuteczniej pracować. W tym celu rozpisze Wydział w swoim czasie odezwy do znanych myśliwych obywateli w powiecie z uwiadomieniem o założeniu towarzystwa, i z prośbą o poparcie w obopólnym interesie. Mamy nadzieję, że głos nasz, mający na celu pielęgnowanie i rozwój myśliwstwa, jako jednego z czynników dosyć ważnych w gospodarstwie krajowem, nie przebrzmi bez skutku, i że również i myśliwi w powiecie zechcą wspólnie z nami pracować i pod patronatem św. Huberta przyczynić się do poprawy obecnych stosunków. *B. W.*

Z powiatu Sandeckiego w maju.

(Stosunki łowieckie.)

Od czasów zamianowania delegatów Towarzystwa naszego po powiatach, dopiero po raz pierwszy zabieram głos, gdyż inni pp. Delegaci tyle wytaczali różnych uwag i skarg na lekceważenie w kraju, tak przez jednostki jak i ogół ważnej gałęzi łowiectwa, że nie dokładałem cegiełki z mej strony do tego pomnika. Dopiero dziś, kiedy lepsze czasy w powiecie naszym się zapowiadają, ośmielam się z niektórymi wiadomościami z Szanownymi Czytelnikami „Łowca“ podzielić.

Jest nadzieja, że i w naszym górskim, z samego położenia dla zwierzyny niesprzyjającym powiecie, przy pomocy władzy politycznej, żandarmeryi i przyjaciół myśliwstwa zwierzostan wzmagać się będzie. Najgorszym wrogiem zwierzyny jest u nas jak wszędzie „homo sapiens“. Wykrycie takiego kłusownika jest jednak w górach o wiele trudniejszem niż na równych terenach łowczych, a to raz dlatego, że wieśniak tutaj nie buduje chat koloniami, lecz gdzie na stoku żyźniejszy i łagodniej leżący znajdzie skrawek, najczęściej w jakiejś żyłce krzakami obrosłej przy potoczku z swą chatą się sadowi, a odrębnie i zdala od bezpośredniego sąsiedztwa mieszkając, swobodniej zasiada na zwierzynę — powtóre, iż na przykrych a często powtarzających się stokach pościg kłusownika nader jest utrudniony, a w lasach, naszymi jarami i głębokimi paryjami poprzerzynanych, często odnosi się akustyczne złudzenie tego rodzaju, iż za echem tylko a nie za właściwym strzałem, strzegący polowania pogoń czyni. Obawiam się tylko, aby wobec postępu wynalazków i ulepszeń w amunicyi i broni, nie prędko nasz kłusownik był w położeniu używania prochu bezdymnego i huku nie wydającego, bo wtedy przy wielkiej ilości broni palnej, przez górali tutejszych w domu trzymanej, kłusownictwo bardzo dotkliwie odczuwaćby się dało.

Wracając do rzeczy, muszę się podzielić z czytelnikami „Łowca“ wiadomością, iż ostatniemi czasy starostwo tutejsze bardzo energicznie do ścigania kłusowników się wzięło — co o tyle trudniej przychodzi władzy tej przeprowadzić, iż poprzednio praktykowano wydzierżawianie polowań gminnych często najgorszym indywiduom, lub nawet całym bandom opryszków-kłusowników.

W powiecie tutejszym mamy ciekawy dość zwyczaj, iż w niektórych gminach naczelnicy tychże jako pensye do ich urzędu przywiązaną pobierają czynsz z polowania gminnego, i pieniądze te zupełnie nie przechodzą przez kasę gminną. Jeżeli sam naczelnik sport myśliwski kultywować lubi, albo w gminie kilku amatorów polowania się znajduje — nikt inny nie jest w stanie przy licytacyi wyższą od wójta wnieść ofertę, gdyż on, nie płacąc sobie samemu czynszu, może dojść do bajońskich sum. Szczęściem ustawa przewidziała prawdopodobnie, iż tego rodzaju nadużycia dziaćby się mogły i pozostawia zupełnie wolną rękę c. k. starostwom w przyznawaniu prawa polowania na pojedynczych terytoryach w ten sposób, że nawet mniej ofiarujący a większą rękojmię ścisłego przestrzegania ustawy łowieckiej dający współlicytant, może zostać dzierżawcą polowania. Nie zawsze jednak chcą prowadzący licytacye urzędnicy z treści powyższego paragrafu robić użytek.

Z wszelkiem uznaniem wypada mi tu podnieść fakt, w którym jako zastępca właściciela występowałem, ubiegając się o dzierżawę polowania w jednej z gmin do dóbr Nawojowskich należącej. O polowanie to starali się również chłopi i syn miejscowego gr.-kat. parocha.

W wypadku tym, iż naokoło graniczące terytorya należały do jednej i tej samej osoby, a tylko wewnątrz powstałaby enklawa innego dzierzawcy, liczącego na przechodnią zwierzynę wielkiego owego kompleksu, zresztą ze względu, iż ów wielki właściciel polowania, w granicach ustawy i akuratnie prawo to wykonując, podnosi zwierzostan, stanowiący także jakąś cząstkę ekonomicznego dobrobytu w kraju — pomimo wyższej oferty przy ustnej licytacyi przez wzmiankowanych kompetentów podawanej, przyznało c. k. Starostwo dzierzawę tę skarbowi Nawojowskiemu. Pomogło w tej sprawie wiele i to, iż licytacyę prowadził c. k. komisarz Maurycy hr. Dzieduszycki, myśliwy, znający trudności pielęgnowania i utrzymywania zwierzostanu w górach.

Z całą energią postąpiło starostwo tutejsze w innym wypadku. Pewien wójt, dzierzawiący za bardzo wysokim stosunkowo czynszem dzierzawnym (który płaci chyba w ten sposób, iż z lewej do prawej przekłada kieszeni) jedno z tutejszych polowań, wybijał tak gorliwie siuty, oszczędzane w myśl ustawy przez sąsiadów — że został w końcu przez podpisanego delegata i posterunek żandarmeryi o rozmyślne ubicie dwóch a postrzelenie trzeciej kozy oskarżony. Otóż został za to przekraczanie ustaw przykładnie ukarany, tak, iż nadto drogiem okazało się to polowanie dla „pana naczelnika“. Wyrok, wydany na piśmie przez c. k. starostwo opiewa, iż bijący siuty pan naczelnik ma zapłacić 25 złr. grzywny i przestaje być dzierzawcą polowania za ubicie kozy jednej, którą mu jako *Corpus delicti* odebrano, prócz tego z powodu, iż paszport na broń nie był w należytym czasie odnowiony, a już wyszedł, skonfiskowaną mu została lankastrowa dubeltówka (na ten popis myśliwski wypożyczona), za którą właścicielowi 50 złr. zwrócić musiał. Inni opryszkowie, czyhający na siuty, uczestniczyli w tem polowaniu, ale z bronią żandarmowi ujść zdołali. I oni wszakże skazani zostali, każdy na grzywnę po 5 złr. Jakto na wstępie powiedziałem, nie łatwo w naszych górach nawet w biały dzień kłusownika na gorącym uczynku ująć, a w tym wypadku całą zasługą była energia i niesłychane trudy c. k. żandarma Barszczaka, który godzinami leżąc w zasadzce na śniegu, łatwo gorliwość swoję zdrowiem mógł przepłacić.

Zawiązało się w Sączu także „Kółko myśliwskie“, które dopiero w tym sezonie polowania jako takie powiatowi się przedstawi, stawając w przyszłym miesiącu do licytacyi polowań na terytoryach najbardziej zagrożonych. Członkowie kółka tego już w kilkunastu wypadkach sądownie i policyjnie ścigali, chociaż niestety z nierównym skutkiem, przestępców ustawy łowieckiej. Mamy wszyscy nadzieję, iż przy tegorocznych licytacyach polowań gminnych c. k. starostwo z wszelką ścisłością takowe przeprowadzić zechce, to znaczy, iż z jednej strony, broniąc gminy jako właścicieli polowań, nie odda przedmiotu dzierzawczego poniżej rzeczywistej i właściwej wartości — z drugiej zaś strony, mając dobro całego kraju na względzie, wybierze na dzierzawców ludzi znających ustawy, nieposzlakowanych i dających wszelką rękojmię prawidłowego wykonywania prawa polowania, wreszcie, że utrudni ile możności wydawanie zgłaszającym się paszportów na broń, gdyż instrument taki w samotniej chacie wieśniaka, w długie zimowe wieczory i nocy śniegami zasypanego, stanowi pokusę i wiedzie na zasiadkę, gdzie morderczy pocisk siekańców i lotek nie przebiera, lecz wszystko kładzie trupem.

K. Gostyński.

Ze Stryjskiego, w kwietniu 1890.

(W obronie gniazda).

W pobliżu domu mojego, za potokiem, posiadam gaj z drzew olchowych, a przeważnie z iwiny się składający. Gaj ten jest rodzajem sroczej kolonii, gdyż niemal na każdem drzewie gniazdo srocze się mieści. Nie ma komu tępić te szkodnice, od czasu, gdy wielkiego pogromcę srok, sprytnego, a jak chłopi mówili, „cikawego“ parobczaka Iwasia do wojska wzięto. On bowiem w czasie lęgu rabował srocze gniazda, młode sroczęta jak delicye spożywając.

Ostatnich dni marca wybrałem się do swego gaju, nie w chęci polowania, bo myśliwym wcale nie jestem, tylko ot tak, celem użycia przechadzki. Błądząc po gaju, pocieszałem się obfitością „baziek“, co drzewa iwowe obsiadły. Toż to pasieka moja obfitością „perhy“ rozkoszować się będzie! pomyślałem. Co to jednak ma znaczyć? Mnóstwo srok, na niewielkiej przestrzeni obsiadłszy drzewa, wrzeszczą w niebo głosy. Dodam, że na każdem drzewie iwowem znajdowało się gniazdo srocze. Wchodzę w tę hałaśliwą kolonię, a sroki, po zwyczaju bardzo płochliwe, nie ulatują na mój widok, tylko skrzeczą gwałtownie. Czy lisa spostrzegły, i obecność jego, jak zwykle, wrzaskiem zdradzają? Poglądam po ziemi, nic nie widać. Aż przy jednem gnieździe rzecz niezwykłą dostrzegłem. Zwierzątko jakieś niewielkie, głowę do małego otworu sroczego gniazda wsadziwszy, daremne czyni wysilenia, aby z tej matni się wydostać.

Któż nie zna dowcipnej budowy gniazd sroczych. Z wierzchu, jakby dachem chroniącym od wtargnięcia nieprzyjaciela, pokryte one grubą warstwą gałązek cierniowych. U jednego zaś boku gniazda znajduje się wąziuchny wchód do wnętrza, tak wązki, że weń chyba zgrabna i wysmukła sroka wcisnąć się jest zdolna. Staję przed samem drzewem, i poznaję, że owem zwierzątkiem uwięzgłem, jest kuna. Zwierzę to „czmyszy“, t. j. targa sobą. Wpiwszy pazury w korę drzewa, targa sobą, lecz czem raz słabiej. Niewiele się namyślając, wyłażę na drzewo, chwytam kunę za tylne nogi i zrzucam ją na ziemię. W te tropy, z wnętrza gniazda z wrzaskiem sroka wyleciała. Szczególne! kuna zamiast uciekać, poczęła w kółko w miejscu biegać.

Począłem z drzewa złazić, a 7 do 8 srok, nie bacząc na moją tak bliską obecność, z wrzaskiem na ziemi usiadłszy, poczęły szykować się do ataku *viribus unitis* na nieprzyjaciółkę swego rodzaju. Taka to panuje solidarność między tą rzeszą.

Już na ziemi w pobliżu kuny stanąłem, a ona bezprzestannie w miejscu się kręci, niekiedy o nogi moje potrącając. Bliżej się przypatrzywszy, ujrzałem, że sroka w obronie gniazda swego, a względnie w obronie życia swego, ostrym swym dzióbem oboje oczu kunie wydziobała, w dodatku srodze nos i czoło jej kalecząc.

Dobrawszy się grubego kija, dobiłem kunę. Jest to okaz bardzo piękny, do kun leśnych należący. Co poznałem po owym „półkoszulku“ na piersiach, który u kun domowych biały, a u kun leśnych pomarańczowej barwy bywa.

Zkąd wzięła się tutaj ta mieszkanka dużych lasów? Prawdopodobnie przypadek jakiś ją tu przywiódł, bo do dużych lasów od mego gaju daleko. Głód gwałtowny kazał jej zrobić napad na gniazdo, gdzie przedwcześnie jaj lub wylęgłych srocząt szukała.

K. S. G.

KRONIKA.

Wystawa rolniczo-leśna w Wiedniu, z bogatym bardzo działem łowieckim, została w d. 14. maja uroczyście otwartą. Otworzył ją osobiście cesarz jako protektor wystawy, w obecności arcyksiążąt: Karola Ludwika, Franciszka Ferdynanda d' Este i Franciszka Salwatora, dalej księcia Filipa Koburskiego, hr. Kalnokiego, hr. Taaffego i ministrów jenerała broni Bauera i Kallaya, wreszcie wszystkich ministrów austryackich i hr. Szaparego, Bethlena i barona Orczy z węgierskiego ministeryum, naczelników urzędów dworskich, bardzo licznych członków ciała dyplomatycznego — prezydyów obu Izb Rady państwa, licznych członków Izby panów i Izby posłów, sejmu węgierskiego, burmistrza miasta Wiednia, dr. Prixa i wielu członków Rady miejskiej, znacznego zastępu uczonych, przemysłowców, reprezentantów Izby handlowej i t. d.

Przy wejściu na wystawę powitano cesarza hucznemi okrzykami, poczem przewodniczący książe Colloredo i prezydenci hr. Falkenhayn i hr. Ferdynand Kińsky wprowadzili monarchę do pawilonu cesarskiego.

Tutaj przewodniczący podziękował cesarzowi za przyjęcie protektoratu i podniósł, że rolnictwo jest podstawą dobrobytu monarchii, a od r. 1866 nie było w Wiedniu wystawy rolniczej tych rozmiarów co obecna. Cesarz wyraził przekonanie, że wystawa wykaże znaczne postępy rolnictwa w ostatnich lat dziesiątkach.

Ze strony Węgier powitali monarchę prezes hr. Dessewffy i wice prezesi hr. Ludwik Tisza i hr. Aladar Andrassy.

Po przedstawieniu cesarzowi członków dyrekcyi i jeneralnego komitetu, zwidził monarcha wystawę. W dziale łowieckim uderzyły go zestawione starannie trofea trzechdniowych łowów na podchodnego w dobrach Staszowskich ś. p. Artura hr. Potockiego. Czterej myśliwi, a mianowicie hr. hr. Artur i Roman Potoccy, hr. Brunicki i ks. Lubomirski ubili wówczas 75 kozłów, 1 dzika i 1 orła.

W galicyjskim pawilonie przemysłu domowego przyjmował cesarza hr. Włodzimierz Dzieduszycki. Cesarz chwalił piękność kilimków, którymi cały pawilon wybity, i wyraził swe zadowolenie p. Władysławowi Fedorowiczowi, którego warsztaty kilimków tych dostarczyły.

Okazy łowiectwa zgrupowane są, jak wiadomo, w zachodnim transepcie rotundy w Praterze, i przyciągają znaczną liczbę zwiedzających. Pisma wiedeńskie unoszą się nad bogactwem i świetnością okazów zwierząt drapieżnych, które wystawiono w grupach oddziału galicyjskiego, a to przeważnie staraniem hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego.

Powszechną uwagę zwraca także na siebie plastycznie przedstawiony obraz fauny górskiej i polowań alpejskich. Pośród skał, pnących się już ponad linię lasów, figurują tam w charakterystycznych postawach, kozice, zające alpejskie, lisy górskie, orły, głuszce, pardwy alpejskie i t.p. Oddział węgierski imponuje wspaniałym zbiorem rogów, świadczących o sile i potędze zwierzostanu karpackiego z zakresu wyższych łowów.

W osobnym pawilonie zestawiono okazy, dające pogląd na historyczny rozwój łowiectwa, począwszy od budów palowych i najpierwotniejszych szczepów, maczug i strzał aż do dni najnowszych. Nad wchodem do tego pawilonu widnieje głowa potężnego jelenia, ubitego w początkach zeszłego stulecia przez jednego z biskupów Salcburskich. Między wielkimi rosochami tej głowy umieszczono krzyż, jak u legendowego jelenia św. Huberta.

Całość wystawy wywiera na widzach miłe wrażenie i jest wielce pouczającą.

O zwierzostanie na Litwie piszą ztamtąd co następuje:

Słynne puszcze i lasy litewskie, pełne przed laty grubego zwierza i drobnej zwierzyny, znikły bezpowrotnie. W ostatnich piętnastu atach wyrąbano na Litwie około 4,000.000 morgów lasu w pień, nie licząc mocno przerzedzonych pozostałych leśnych obszarów. Wyrąb ten przybrał tak wielkie rozmiary, iż po całym kraju rozlegały się echa siekier i toporów. Z gorączkowym pospiechem ogołacała się Litwa ze swego naturalnego bogactwa. Niszczyli lasy tak dobrzy magnaci i panowie, jak średnia i drobna szlachta. Dopomagali w tem Rosyanie, nabywający lub dostający tu za łaską monarszą ziemię, i wycinali lasy lepiej od innych. Wszystkie nasze spławne rzeki unosiły i unoszą jeszcze ku portom bałtyckim i czarnomorskim najpiękniejszy towar leśny. Olbrzymie wzięte zeń kapitały stopniały marnie, nie podnosząc wcale dobrobytu krajowego.

Oprócz lasów w dobrach Wittgensteinowskich, które przeszły dziś w spadku na księcia Hohenlohe, oraz księcia Antoniego Radziwiłła, ordynata Nieświeskiego, mało co tu więcej obszarów leśnych zostało. Lasy rządowe, powstałe w skutek konfiskaty lasów prywatnych właścicieli, oraz klasztorów, nie są zbyt rozległe. Wyjątek w tem stanowi słynna od wieków puszcza Białowiezka, rozciągająca się w gubernii grodzieńskiej, na pograniczu Królestwa Polskiego, na przestrzeni 230.000 morgów. Puszcza ta przed wiekami stanowiła mur ochronny Litwy od strony Polski, oraz główną kryjówkę mieszkańców w czasie napadów hord tatarskich, oraz rozruchów wojennych. Stara ta puszcza dziś już jest znacznie przerzedzona. Jej do niedawna dziewicze jeszcze wnętrza, do których żaden śmiałek przedrzeć się nie odważał, zawalone drzewem i gałęziami, pełne strumieni i moczarów, były siedliskiem ogromnej ilości dzikiego zwierza, a mianowicie owych słynnych na całą Europę żubrów. Puszcza ta do niedawna stanowiła część dóbr skarbowych. obecnie przeszła podobno na własność familii carskiej. Z powodu nieoględnej pospodarki, oraz niedostatecznej ilości straży, zwierzyna w Białowiezkiej puszczy ginąć i marnieć zaczęła. Podejrzywano, iż jakaś epizootia zabija żubry, gdyż liczba takowych gwałtownie zmniejszać się zaczęła. Ztąd powstały obawy, iż rzadki ów zwierz wyginie do szczętu. Okazało się jednak wkrótce, iż nie choroba zabijała żubry, lecz kule kłusowników i innych myśliwych.

Od paru lat rzeczy się zmieniły. Puszcza Białowiezka swym obszarem i kryjącem się w niej bogactwem — oraz strategicznym punktem, jaki stanowi w razie wojny, zwróciła na siebie baczniejszą uwagę. Osadzono puszczę liczną strażą leśną, doskonale zorganizowaną, zaprowadzono w puszczy telefony, telegraf, pocztę itd., aby rozległe strażnice z łatwością z sobą porozumiewać się mogły. W samym jej środku poczęto wznosić pałacyk myśliwski. Część drzewa towarowego została sprzedaną kupcom niemieckim, lecz ogromna ilość budulcu i opału, oraz wywrotni i gałęzi, przepełnia jeszcze puszczę, gdyż z powodu odległości kolei żelaznych, zbyt tego drzewa jest nader trudny.

Według świeżych obliczeń w puszczy Białowiezkiej znajduje się obecnie 353 żubrów, 254 łosi, 264 jeleni, 440 sarn, oraz 360 dzików. Wszystkie te gatunki — acz nieco w mniejszej ilości — spotyka się i w sąsiedniej puszczy Świsłockiej. Oprócz tego grubego zwierza kryje się w puszczy nieskończona moc drobnej zwierzyny różnego rodzaju. To pewna, iż cała Europa lepszego nie posiada polowania. Z powodu strategicznej doniosłości, jaką przedstawia puszcza Białowiezka, straż jej ma być zorganizowaną wojskowo pod zarządem oficerów. Będzie to więc rodzaj twierdzy, utrzymywanej na wojennej stopie.

Porządnie zorganizowane myśliwstwo spotykamy jeszcze na Litwie w dobrach ks. Antoniego Radziwiłła, oraz, acz na mniejszą skalę, w dobrach innych magnatów.

Z wyjątkiem lasów rządowych i magnackich śmiało rzec można, iż zwierzyna wyginęła na Litwie. Jej „pełne zwierza bory" znikły i — zwierz się wypłoszył. Niedźwiedź do rzadkich już nader zjawisk u nas należy, niemniej sarny, dziki i jelenie. Główne polowania odbywają się u nas na zające, a i tych liczba zmniejsza się ciągle, gdyż tępią je niemiłosiernie włościanie. Ptactwa dzikiego niewiele, — wypłoszył je również wyrąb lasów. Znaleść je jeszcze tylko można w południowych powiatach gubernii mińskiej, a mianowicie na Polesiu.

Duch myśliwski wygasa coraz bardziej. Stare pokolenie Nemrodów wymiera, a młodsze coraz mniej zapału myśliwskiego objawia. Polowania zbiorowe w licznej drużynie trafiją się nader rzadko, gdyż przeszkadza temu policya, zabraniająca wszelkich zbiegowisk, oraz mała ilość zwierzyny. Za to wilków posiadamy ogrom. Brodzą one bezkarnie po lasach i drogach, czyniąc szkody w stadach, a czasem napastując podróżnych. Podejmowane przez zarząd gminny raz w lat kilka obławy są tak nieumiejętnie organizowane, iż nie przyczyniają się wcale do wytępienia tych szkodników.

Ziele św. Huberta *(Hubertuskraut — Barbaraea upland)*, rodzaj „Gorczycznika" *(Erisimum Barbaraea)*, roślina trwała, wytrzymująca znaczne stopnie zimna, zalecaną i używaną jest obecnie jako karma dla zwierzyny. Można ją dwa razy w roku kosić na siano, a jeszcze w zimie, pod śniegiem, służy zwierzynie na zieloną paszę. Liście jej, przydatne również na sałatę, przypominają rzerzuchę, chętnie też skubane są przez owce i przez sarny; także przez kuropatwy i bażanty. Roślina nie jest wcale wybredną co do gruntu, nawet w górskich rewirach dobrze się

udaje. Starsze sadzonki można w późnej jesieni przesadzać, a nasienie, rzucone do ziemi jeszcze we wrześniu, wschodzi i wydaje plon. Dla remiz i zwierzyńców wyborna to roślina. Kulturą jej zajmuje się i rozsyła zarówno sadzonki starsze, jak i nasienie p. Rudolf Nerlich w Bielsku na Szląsku, znakomity myśliwy i właściciel składu artykułów myśliwskich.

Konkurencya zwierząt z człowiekiem. Znanym jest powszechnie projekt jakiegoś szaleńca, który wpadł na pomysł używania małp, jako sił roboczych w fabrykach. Małpy, sprowadzone do Europy, wytresowane i „poduczone", mogłyby, jego zdaniem, spełniać wiele robót, nie wymagających ani znacznej siły fizycznej, ani pewnego stopnia inteligencyi. Byłby to znakomity surogat robotnika-człowieka; nie strejkowałby, nie żądałby powszechnego prawa głosowania i nie należałby do socyalistów. Dostawszy kawałek piernika lub bułki i trochę owoców, mógłby pracować cały dzień, oczywiście, bez wynagrodzenia pieniężnego. Wielkie miasta „zamałpiłyby" się, fabryki kwitnęłyby niepospolicie, a ludzie?....

Lecz projektodawca umilkł i słych o nim przepadł, pojechał widocznie do kraju małp i tam go „ziomkowie" zatrzymali. Więc nie ma obawy o konkurencyę małp. Natomiast na seryo zaczynają myśleć o tem, aby na kolejach używać psów, jako dozorców, magazynierów itp. W Rosyi jest to już dokonanym faktem. Koty mają stałe posady nawet na kolejach naszych. Trzyma się je w magazynach, jako postrach na szczury i myszy, które wyrządzają często bardzo dotkliwe szkody. Każdy kot dostaje miesięcznie „pauszale" na utrzymanie, wynoszące, jeśli się nie mylimy, około 40 ct. Koty są istotnie bardzo potrzebne, zaś z psami taka jest sprawa: Zarząd rosyjskich południowo-zachodnich kolei wydelegował niedawno temu komisyę w celu zastanowienia się nad środkami, którychby się chwycić należało, chcąc uchylić częste i znaczne kradzieże, popełniane w magazynach i na rampach. Komisya, zbadawszy rzecz, oświadczyła przedewszystkiem, że brak uczciwych dozorców, a natomiast wielka ilość złodziejów, ma swe źródło w nadzwyczaj niskiej płacy personalu. Zamiast podwyższenia płac i umoralnienia dotyczących funkcyonaryuszów, proponuje komisya redukcyę niższego personalu i zastąpienie go „złymi" psami, któreby „szczekały głośno i porządnie umiały kąsać". Wypracowano nawet przepisy p. t.: „instrukcya dla rosyjskiej psiarni kolejowej", jest tam mowa o postępowaniu z psami, o zakazie zbytniej z nimi konfidencyi, o pilnowaniu ich zdrowia i t. p. rzeczy, tchnące superlatywem cywilizacyi naszego wieku. Komisya opracowała nawet budżet; utrzymanie psów n. p. na stacyi towarowej w Odessie kosztuje rocznie trzy tysiące rubli. Elaborat komisyi przyjęto z małymi zmianami. Wiele pism traktuje tę sprawę bardzo poważnie...

Co do małp, należy jeszcze zauważyć, że w Singapore, w Indyach, używają mieszkańcy małp do zrywania owoców z drzew. Małpy tak są wyuczone, że w czasie zrywania nie jedzą wcale owoców, lecz zrzucają zerwane do rozpiętej pod drzewem płachty. Dopiero gdy zlezą z drzewa, otrzymują pewną porcyę owoców jako nagrodę za trudy.

Wpływ karmienia organicznymi barwnikami na upierzenie ptaków. Przed kilkunastu laty nadesłano na niemiecką wystawę ptaków czerwone kanarki, które w ten sposób otrzymano, że młode ptaki przed pierzeniem karmiono pieprzem kajeńskim (jest to sproszkowany owoc *Capsicum baccatum*). Po pierzeniu pozostały kanarki przez całą zimę czerwone, nawet wtedy, gdy przez ten czas nie były karmione pieprzem; jednakże po następnem pierzeniu, otrzymały napowrót pierze żółte, jeżeli przed pierzeniem nie karmiono ich znowu pieprzem. Dnia 31. maja z. r. przedstawił Sauermann fizyologicznemu towarzystwu w Berlinie wynik swoich doświadczeń, zebranych przy karmieniu ptaków pieprzem kajeńskim i wpływem tegoż na barwę i upierzenia. Przez trzy lata karmił on kanarki wyciągiem pieprzu kajeńskiego, który zawierał czerwony barwnik, nie zawierał jednak czerwonego tłuszczu (trioleiny) i piperyny; kanarki pozostały żółtymi. Następnie użył do badań sproszkowanego pieprzu kajeńskiego, a doświadczenia robił na białych kurach włoskich. Już dziesiątego dnia pojawiły się u jednej kury żółtoczerwone pióra na piersi, po kilku dniach zwierciadełko stało się żółtoczerwonem, pióra na piersi zczerwieniały więcej, a po ukończonym wzroście miała kura na piersi i zwierciadle pióra czerwone, zresztą żółto-czerwone. Druga kura miała tylko pierś czerwoną; na innych kurach nie wywołało karmienie żadnej zmiany w upierzeniu. Nogi miały wszystkie kury pomarańczowo-żółte, a czerwoną kapsycynę można było z nich wydobyć działaniem alkoholu i eteru. Stare kury nie doznały żadnej zmiany w barwie upierzenia; tylko żółtko ich jaj było czerwone i różniło się od zwykłych tem, że nawet po 10-ciu minutowem silnem gotowaniu było miękkie. W żółtku jaja barwnik był widocznym już po 4 dniach. Wypływa stąd, że na osadzenie się w piórach z pokarmami wziętego barwnika wpływa tłuszcz, zawarty w pieprzu kajeńskim, co Sauermann stwierdził jeszcze dalszemi swemi doświadczeniami, podając ptakom z karmą farby anilinowe. Jak długo używano farb tych w wodzie lub sodzie rozpuszczonych, nie były ani pióra ani żółtka zabarwione, gdy zaś użyto do karmienia farb w rozcieńczonej glicerynie, barwiły się pióra delikatnie różowo.

Szybkość lotu jaskółki. W biuletynach francuskiego Towarzystwa zoologicznego zamieszczono ciekawe szczegóły, dotyczące szybkości lotu jaskółki dymówki, (*Hirundo rustica*). Para tych jaskółek od kilku lat gnieździła się w oranżeryi zamku Nielles-les-Adres (dep. Pas de Calais). Roku zeszłego w sierpniu, gdy młode mogły już latać służący zamkowi, udając się na wystawę paryską, zabrali jedno z rodziców i przewieźli we włosianym woreczku. Tutaj pod wieżą Eiffla wypuścili ptaszynę w dniu 25 sierpnia o godz. 9 min. 30. Jaskółka wzbiła się do wysokości pierwszej platformy wieży, poczem skierowała się bez namysłu ku północy. Do Nielles przybyła o godz. 11 min. 46. Odległość między stolicą i Nielles wynosi w prostej linii 240 kilometrów, i tę przebył ptak w 2 godzinach i 16 m. Po tem sprawozdaniu p. Viana, wiceprezesa Towarzystwa, baron de Guerne przytoczył inną obserwacyę, podług której jaskółka przebyła odległość 242 klm. w dwóch godzinach. Z tego wypada, że średnio ptak ten robi 125 kilometrów na godzinę, gdy gołąb pocztowy w tym czasie tylko 80 klm. przebywa.

Psia przezorność. Jeden z przyjaciół naszego pisma podaje nam następujący fakt, należący niezawodnie do nadzwyczajnych w dziedzinie objawów psiej inteligencyi.

„Milord" — pisze nasz przyjaciel — leży zwykle pod mojem biórkiem w kancelaryi i zwraca baczną uwagę na wszystko co robię, a najwięcej obawia się tego, abym, wracając do domu, nie zostawił go przypadkiem w biurze. Tego zapomnienia obawia się najwięcej w południe, w porze obiadowej. Dokąd nosiłem laskę, która stała w kącie, pies nie czuł najmniejszej obawy, gdyż wychodząc tylko do sąsiednich ubikacyj, nie brałem laski, a Milord zdawał się być pewnym, że bez laski do domu nie pójdę i dopiero wtedy się ruszał, gdym laskę wziął do ręki. Przestałem jednakże nosić laskę, a wówczas pies za każdem mojem wyjściem z biura okazywał niepokój i drapał się do drzwi. Sprzykrzyło mu się to wreszcie i wynalazł sobie inny sposób asekuracyi na pewny powrót do domu. Oto bierze ze stołu jednę z mych rękawiczek, kładzie najspokojniej na swojem legowisku i przygniatając ją ciężarem ciała, spi spokojnie z tem przeświadczeniem, że gdy zechcę wracać do domu, poszukam rękawiczki, a przez to zbudzę psa i naturalnie zabiorę go z sobą. Rękawiczka jest w najlepszym stanie, choć to pies młody a więc lubiący gryźć skórę. W ten nowy sposób asekuruje Milord prawie codziennie powrót swój do domu, nie robiąc sobie nic z tego, że go obserwujemy."

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.